

PRZE KRÓJ



Piotr Breughel, wybitny malarz flamandzki z XVI wieku. — „Krajobraz zimowy”

NUMER ŚWIĄTECZNY * GRUDZIEŃ 1952

Wiech 2 KONKURSY

ROZ K.I. GAŁCZYŃSKI ST. GRODZIENSKA
ODKOWIŃSKI PRZYPKOWSKI KOŹNIEWSKI
AU niechowski KAMYCZE

Akcent życia...

— I znowu rok... — Stefan spojrzął na mnie zza swych szkielec i oboje rozesmialiśmy się równocześnie i krótko. Tak już powtarza się od kilku lat: gdzieś przed świętami i nowym rokiem, koło dwudziestego grudnia, przychodzi wieczór, że Stefan wywleka na swój stół stertę papierów z szuflady, do której ciska je przez cały rok. Są to listy od matki, rachunki za gaz i światło, jakieś urzędowe urgensy, recepty dla Staszka i dla mnie, bilety kolejowe nieoddane przy „opuszczeniu peronu”, wycinki (raczej wyrwyki) z gazet, programy teatralne, zaproszenia na odczyty, obchody, akademie (większość niewykorzystana)... Stos ten uzupełnia kalendarzyk wyjęty z prawej wewnętrznej kieszeni stefanowej marynarki. Oto mąż mój czyni bilans swego — naszego! — roku. W chwili, gdy któryś z tych papierów wrzucał do sakramentalnej szuflady — każdy był bardzo ważny, wiadomość gazetowa była z tych „doniezwypomnienia”, z biuletów miał się wyliczyć, na list konieczne odpowiedzieć... Któryż paperek zachował po roku swą trwałą wartość? Konfrontuje je Stefan z pod ręcznym notesem, od czasu do czasu rzucaną lakoniczną uwagą przypomina jakieś wydarzenia które winny być ważne, a są charakterystyczne dla minionego roku życia dwojga jeszcze nie-starych — brzo! — ludzi i ich mocno urwisującego się synka — Stanisława. Wyliczenie dotyczy zarówno spraw tego świata najważniejszych, jak i naszych wyłącznie rodzinnych. Znajdzie się w tym bilansie zarówno recepta na staszkową odrę, jak zawiadomienie babci o zmianie adresu — obecnie Blok 6-a MDM, nieduża książeczka z napisem na pierwszej stronie: „Konstytucja Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej”, jak pierwsze świadectwo szkolne Staszka. Niezmiennie, od kilku lat, kończąc swój papierowy obrachunek, Stefan mówi: i znowu rok minął... Śmiejemy się wtedy oboje nie tylko dlatego, że rok ten był dla naszej trójki szczęśliwy, ale może dlatego, że oboje wiemy, iż Stefan teraz wypowie drugą część zdania, zawsze tak samo sformułowanego (podobno nauczył się od swego ojca!):

— ...pesymiści mówią: rok bliżej grobu. Optymiści: rok dalej w życie! Którzy mają rację?

Na to pytanie nie daję mu żadnej odpowiedzi. Co roku tak samo podchodzę do niego (JEGO matka czyniła podobno „ak samo”, on wstaje i ściskamy się serdecznie...

W tym roku jest jednak jakby trochę inaczej. Gdy tradycyjna scena dobiegła końca, szepnęłam:

— Tatuśku... to chyba jednak rok...dalej w życie.

Przed chwilą Stefan odłożył na bok, na kupce „pamiątkowe, przechować!” mandat delegata na II Ogólnopolski Kongres Obrońców Pokoju. Dopiero co przeczytałam w gazecie codzienny komunikat z obrad Kongresu Wiedeńskiego. Staszek jest rok starszy — uginają się pode mną nogi na myśl, że mógłby przejść piekło równe temu, lub jeszcze straszniejsze, niż to, którego doświadczaliśmy oboje ze Stefanem. Każdy rok pokoju dłużej — jeżeli już tyle krzacz o tej wojnie! — to rok, który wygrywa on, mój syn, wygrywa dla swego zdrowia, dla swego nauki, dla swej radości, dla swego dzieciństwa. Nie wiem, może to tylko takie wrażenie, ale rok temu wydawał mi się świat groźniejszy, bardziej zachmurzony niż dziś jest. Byłam nawet jakby

leciutko zdziwiona, gdy Stalin powiedział, że wojna nie jest wcale bliżej nas niż była dawniej i że nie jest wcale nieunikniona. Wierzyłam tym słowom gdyż... wierzyć im chciałam ze wszystkich sił moich i wszystkich uczuć. Wierzyłam, gdyż powiedział że człowiek, którego każde słowo, na przestrzeni wielu lat, sprawdziło się w wydarzeniach historycznych, gdyż powiedział że jedyny współczesny mąż stanu, który wszystko zrealizował co zrealizować zamierzał. Dlatego mu wierzyłam, ale szmer niepokoju drażył ukrycie. A oto co się okazało w ciągu roku: „Stalin się sprawdził” — orzekł niedawno jeden z pravicowych publicystów francuskich. Stalin się sprawdził — sprawdza się wypowiedź sprzed kilku miesięcy o możliwościach uniknięcia wojny i wypowiedź z XIX Zjazdu KPZR o konfliktach wewnątrz obozu imperialistycznego. Niegdyś (dziś zresztą też jeszcze!) widmo komunizmu spędzało sen z powiek możnym świata burżuazyjnego. Dziś już chyba krąży przed ich oczami dwa takie widma... tym drugim jest widmo ruchu w obronie pokoju. Rok dobiegający końca był rokiem coraz to większych przeszkód stawianych rozwojowi tego ruchu na Zachodzie Europy, w Afryce, Ameryce, wszędzie tam, gdzie rządzą wpływy amerykańskie — i coraz to większego rozrastania się obozu obrońców pokoju. Pro-pokoju manifestacja pisarzy francuskich, której wyrazem były manifesty opatrzone podpisanymi pisarzy tak- że takich jak Sartre czy Maurois, jeszcze przed rokiem egzorcyzmujących ruch pokoju niczem zakonnik diabła — przecieć świadczy o skuteczności naszej akcji. Jeżeli angielski katolicki pisarz Graham Greene dołącza swój głos do obrońców pokoju, jest to również wy-mowne, jak kary kościelne, jakimi grozi Watykan tym księżom, którzy staną po stronie naszego ruchu. Nie przesładuje się ruchu bezsilnego i ruch bezsilny nie powiększa gromady swych zwolenników. Doszli do nas nowi ludzie, którzy przez cztery lata obserwowali nasze sukcesy i dopiero przekonawszy się, iż rzeczywiście jesteśmy potęgą odgrywającą rolę w polityce międzynarodowej i posiadającą na swym koncie poważne osiągnięcia — zdecydowali się do nas dołączyć. Mówię stale: **nasz ruch, nasza akcja, nasza praca.** Jest to może śmieszne, tak przywłaszczając sobie dorobek, do którego ja sama przyłożyłam rękę, tak mało, może nawet wcale... (Najbardziej przez wychowywanie Staszka, ale to się jeszcze teraz nie liczy, może kiedyś, gdy on... — uciśnijcie ambitne marzenia matczy-nego serca!)... Zresztą **nasze** jest wszyst-ko to, co naprawdę chcemy by nasze było. Ruch w obronie pokoju może być „przywłaszczony” przez wszystkie chyba matki, gdyż najdokładniej ich właś-nie myśli wyraża. Żadna z nas w oczy dziecku by spojrzeć w przyszłości nie śmiała, gdyby teraz nie pragnęła (i nie tylko pragnęła!) dlań życia w pokoju, ...Więc — odbiegłam od tematu me-

go listu — rozwój ruchu pokoju na-stąpił w całym świecie. Nawet w tych Niemczech Zachodnich Adenauer nie może w upatrzonym terminie przefer-sować „układu ogólnego”, choć ziele hitleryzmu hodoją wszyscy trzej zgodni współnicy: Amerykanie, Adenauer i Watykan. Jak Stefan siedział w Maut-hausen, a tyłu, tyłu innych w innych obozach, Pius XII jednym słowem nie zdobył się na potępienie hitleryzmu i jego zbrodni, przeciwnie — podejmo-wał w Watykanie pana Ribbentropa. Ani jednym słowem nie zaprotesto-wał, gdy przez trzy miesiące żołda-cy hitlerowscy palili Warszawę — a te-raz, nie omija okazji by judzić prze-ciwno polskości Wrocławia i Szczecina. Nie pierwszy to raz w historii niemili jesteśmy Apostolskiej Stolicy...

Wiedeński Kongres jest może tylko demonstracją — ale tak wielką, tak długotrwałą, tak upartą i coraz liczniej demonstrację, jakie od lat czterech na całej kuli ziemskiej mają miej-sce, już przestały być tylko demonstra-cjami. Są one realną siłą polityczną. Siłą, w rachunku której sumuje się wszystko: i odwaga dziewczyny rzuca-jącej się pod pociąg wiozący broń dla nowego hitlerowskiego Wehrmachtu i produkcja węgla i stali w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Mój ojciec był pacyfistą — portret Ossietzky'ego stał długo na jego biurku. Zrzucił go i rozbił gestapowski żandarm kolbą swego rewolweru. Ojca rozstrze-lali... Może dni spędzone w celi nau-czyły go jak mała jest siła oporu bier-nego, może pojął, że pacyfizm, jeżeli chce rzeczywiście uratować życie czło-wieka, musi stać się **walką** o to życie, musi okazać się silniejszy niż wrogowie pokoju. Jeżeli rok 1952 odznaczał się — mimo wszystkich straszności, o których wieści dobiegają ciągle jeszcze z Ko-rei, Wietnamu, z Malajów, z Kenii — jakimś optymistycznym akcentem ży-cia, to właśnie dlatego, że wzrosła rea-lna, faktyczna siła obrońców pokoju, że pogłębiły się sprzeczności wewnątrz obozu imperialistycznego, więc o-bóz ten osłabił, że walki wyzwolenie-ców narodów kolonialnych i półkolonial-nych skutecznie podkopują potęgę państw imperialistycznych, że amery-kańscy bankierzy coraz mniej mogą polegać na Włochach, Francuzach, Bel-gach, Anglikach jako pewnych żołnier-zach planowanej przez nich wojny. Polegać mogą coraz mniej również i dlatego, że dziewiętnasty Zjazd i o-statnie prace Stalina odsłoniły wszyst-kim ludziom piękne perspektywy ko-munizmu — już nie tylko w jego kształcie ogólnym, idealnym, ale nie-omal w konkretnym zarysie codzien-nych zajęć. Jakbym chciała by Staszek — bo nie wiem czy Stefan zdąży! — dożył czasów, gdy rozwój mechanizacji pozwoli na 5-godzinny dzień pracy, a resztę czasu człowiek poświęcać bę-dzie naukom i sztukom... Takie per-spektywy urzekają ludzi i jedną ich dla naszej sprawy. Stanowczo akcent roku kończącego się, był akcentem ży-cia — nie śmierci! Moskwa w dniach październikowych i Wiedeń w dniach grudniowych były tego dowodem i symbolem.

Dlatego w tym roku przełamalam konwenans tradycyjnego, rodzinnego gestu, szepcząc mężowi słowa osobiste-go wyznania, własnej nadziei. Słowa akcentujące życie!

I wiecie co? — Stefan mi przytaknął. A podobno nigdy też jego matce nie nigdy nie mówił. Ale my przecież chce-my być inni. Prawda?

Radio zaczęło swój codzienny komu-nikat z Kongresu w Wiedniu. Ktoś za-dzwonił długo, nie odrywając palca od dzwonka, póki drzwi nie zostaną otwo-rzone. To Staszek wraca ze ślizgawki!

Janina Hryniewicz

Wszystkim
CZYTELNIKOM
najlepsze
ŻYCZENIA ŚWIĄTECZNE
i
NOWOROCZNE
przesyła
TYGODNIK „PRZEKRÓJ”

STALIN

Niedawno jeden z naukowców polskich, odpowiadając na ankietę gazety na temat korzystania z doświadczeń radzieckich — napisał m.in.: „Nie potrafimy już pracować bez dzieł Stalina na biurku”.

Jakże charakterystyczne jest to wyznanie i jak wielu ludzi mogłoby je powtórzyć. Ileż tysięcy i milionów ludzi na całym świecie sięga dziś do dzieł wielkiego nauczyciela ludzkości. Sięgają do nich nie tylko politycy i działacze społeczni,

tych rozwojem społeczeństw uczyły masy prostych ludzi. Uczyły ich, kto jest ich klasowym wrogiem, gdzie jest ich miejsce w toczącej się walce, co mają czynić, by przyspieszyć zwycięstwo. I ludzie pracy zwyciężali i od lat 35 idą od zwycięstwa do zwycięstwa, gdyż rozumieją o co walczą, gdyż wiedzą dokąd idą, gdyż stali się świadomymi panami swego losu. **Drogę wskazuje im nauka Marksa—Engelsa—Lenina—Stalina.**

Jest wielkim przywilejem naszego pokolenia, że żyje ono współcześnie z wielkim geniuszem teorii i



Związku Radzieckiego — oświeciły nowymi, jasnymi promieniami problemy nurtujące dziś ludzkość.

STALIN i XIX Zjazd jego Partii z jasnością nieodpartą i naukową precyzją wskazały ku czemu idzie świat.

STALIN i XIX Zjazd jego Partii uczą miliony prostych ludzi, co ro-

drodze, że to co osiągnęli ludzie radzieccy, osiągniemy za ich przykładem i z ich pomocą także i my. To nam dodaje sił i wiary w te siły i pewności, że przezwycięzimy wszystkie przeszkody, dające się nam jeszcze obecnie we znaki. Tak jak pod przewodnictwem Stalina pokonali zwycięsko znacznie większe przeszkody ludzie radzieccy.

I świadomość tych wspaniałych perspektyw życia przekraczających najśmielsze marzenia przeszłych pokoleń daje zarówno ludziom radzieckim budującym komunizm, jak i nam, budującym socjalizm, jak wreszcie i tym wszystkim narodom, które nie zdołały dotąd wyrwać się z pęt kapitalizmu — jasny obraz, czego bronią przeciwstawiając się złowieszczym planom wrogów ludzkości. Bowiem perspektywą jaką otwiera przed narodami imperializm jest tylko wyzysk, niewola, wojna, zniszczenie, śmierć...

Stalin uczy nas, jak walczyć zwycięsko o naszą przyszłość. Stalin z nieomylną naukową pewnością kieruje świadomym wysiłkiem milionów prostych ludzi, którzy wzięli w swe ręce swoje sprawy. **Za to mu chwala — powtarzają narody.**

CZESŁAW KOMARNICKI

PRZEMAWIAJĄC NA XIX ZJEŹDZIE KOMUNISTYCZNEJ PARTII ZWIĄZKU RADZIECKIEGO, JÓZEF STALIN POWIEDZIAŁ:

„... wszelkie poparcie pokojowych dążeń naszej partii przez jakąkolwiek bratnią partię oznacza zarazem poparcie jej własnego narodu w jego walce o utrzymanie pokoju... Ta szczególna cecha wzajemnego poparcia tłumaczy się tym, że interesy naszej partii

nie tylko nie są sprzeczne, lecz przeciwnie, pokrywają się całkowicie z interesami milijonów pokoi narodów. Co się tyczy Związku Radzieckiego, to jego interesy są w ogóle nieodłączne od sprawy pokoju na całym świecie.”

nie tylko naukowcy. Oczywiście, że nie tylko oni! Sięgają do dzieł Stalina, nadśledzają pilnie słów Stalina wszyscy ci, którzy chcą pojąć sens wydarzeń, wyznaczających bieg dziejów, którzy chcą wiedzieć, ku czemu idzie świat i jakie jest ich własne miejsce w świecie. A ludzie, którzy chcą to wiedzieć i którzy rozumieją już, że właśnie Stalin ich tego nauczy, jest coraz więcej w każdym kraju, w każdym narodzie.

W latach, w których z rewolucyjnej burzy rodził się Związek Radziecki, obiegła miliony ludzi w Rosji i w świecie wieść: Lenin głosi, że bolszewicy nauczą każdą kucharke jak rządzić się państwem. Ówczesni politykerzy przywykli celebrować od pokoleń „politykę” jako niedostępną dla profanów wiedzę tajemną, zaśmiewali się serdecznie i głupio. A tymczasem nauki wielkich teoretyków i praktyków wiedzy o prawach rządzą-

praktyki, objaśniającej świat i zmieniającej go zgodnie z interesami ludu pracującego. Nauki Józefa Stalina, kierownictwo Józefa Stalina sprawiają, że epoka nasza przejdzie do historii jako epoka stalinowska. To znaczy: jako epoka, w której na całym świecie prosty człowiek kierowany myślą stalinowską ujmował zwycięsko w swe własne ręce sprawy sobie najdroższe, sprawy dla siebie najważniejsze.

21 grudnia miliony ludzi we wszystkich krajach świata obchodzić będą drogą sobie święto — **73 rocznicę urodzin JÓZEF STALINA.** W tym roku dzień 21 grudnia dostarczy szczególnie wiele tematów do przemyśleń. Ostatnie miesiące bowiem wniosły do dorobku myśli stalinowskiej wkład niezmiernie cenny i wagi. Najnowsza praca Józefa Stalina i oparty na niej dorobek XIX Zjazdu partii Stalina — Komunistycznej Partii

bić, żeby ten pochód ku zwycięstwu pokoju i socjalizmu zapewnić.

STALIN i XIX Zjazd jego Partii otwierają przed milionami ludzi jasną perspektywę przyszłości, jaką zapowiada zwycięstwo sprawy pokoju i socjalizmu.

Tę perspektywę otwierają nam dotychczasowe osiągnięcia narodów radzieckich — osiągnięcia, które każdy następny miesiąc i rok przewyższy nowymi, jeszcze wspanialszymi i większymi. Kiedy bowiem czytamy o zdobyczach radzieckiego pokojowego budownictwa, o podnoszeniu się poziomu dobrobytu i kultury ludzi radzieckich — to wiemy z pewnością: za miesiące, za lata wraz z stopniowym przechodzeniem do komunizmu człowiek radziecki coraz szerzej i pewniej panować będzie nad przyrodą, będzie tworzył życie coraz piękniejsze i szczęśliwsze. A jednocześnie wiemy, że i my jesteśmy na tej samej

BOLESŁAW BIERUT

EDWARD OCHAB

FRANCISZEK MAZUR

WSKAZANIA I NAUKI

XIX ZJAZDU KPZR

Przemówienia wygłoszone na naradzie aktywu PZPR w Warszawie dnia 4 XI 1952 r.

Str. 96

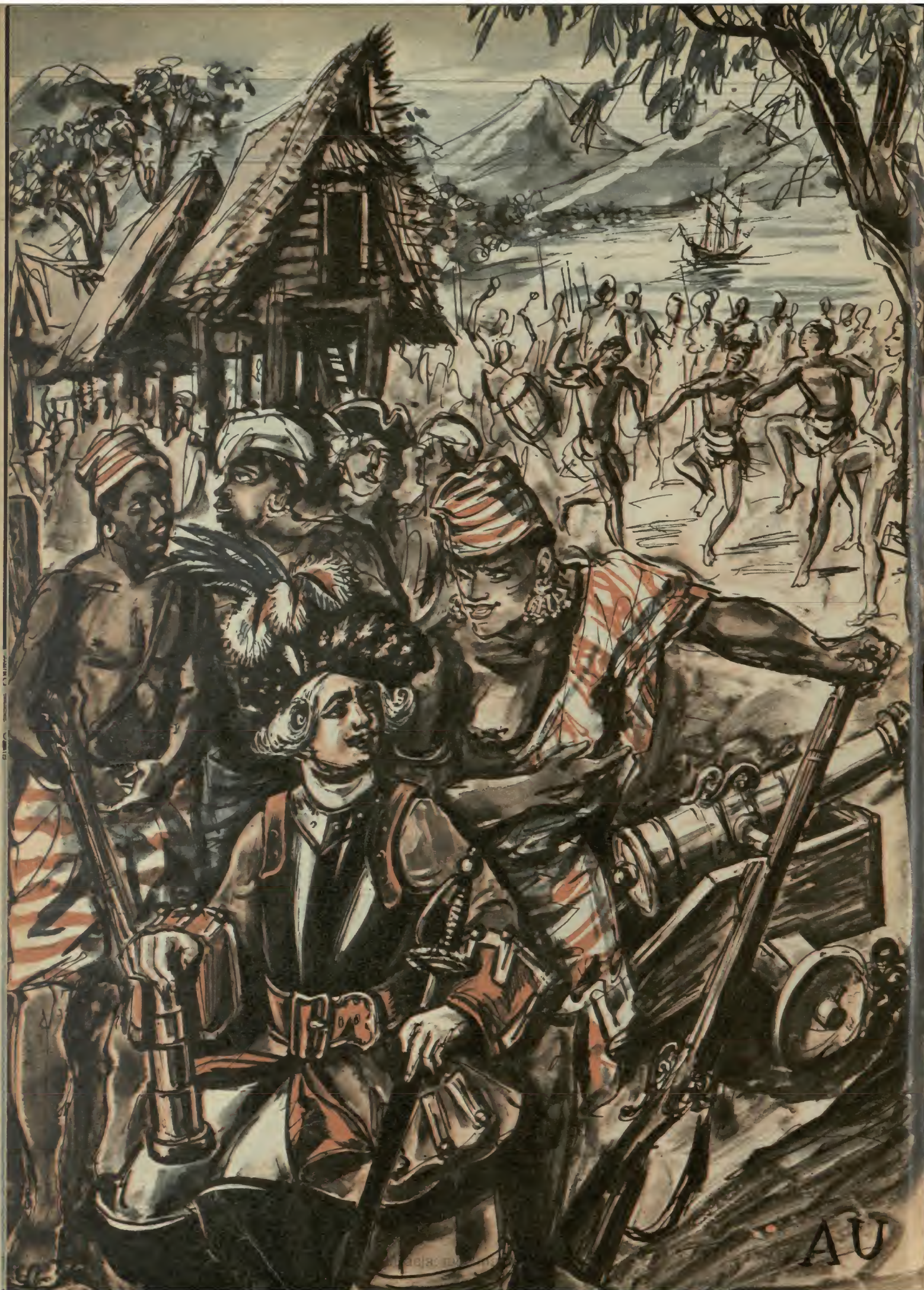
zł 1,40

„KSIAŻKA



WIEDZA”

K-3270



DZIEWIĘCIU POLSKICH PODRÓŻNIKÓW

ISTNIEJE pospolity przesąd, utrzymujący, że Polacy mało przyczynili się do poznania świata. Polacy, choć oczywiście nie poczynili odkryć geograficznych wagi Kolumba czy Magellana, pomogli jednak także poznać prawdziwe oblicze ziemi. Niektórzy z naszych podróżników byli naukowcami, inni szukali przygód lub rozrywki. Poniżej znajdziecie dziewięć obrazków z życia polskich podróżników, którzy — jak nam się zdaje — przeżyli ciekawe przygody, lub położyli duże zasługi dla nauki.

Rysunki

Antoniego Uniechowskiego

Teksty

Jana Błonskiego



1 **POGODNEGO** wiosennego ranka wypłynął z portu królewskiego miasta Kopenhagi niewielki, ale dobrze wyposażony statek. Kierował się na północ, wzdłuż wybrzeży Norwegii, starym i dobrze znanym szlakiem Wikinów. Na pozór więc w wyprawie nie było nic nadzwyczajnego.

Ale wystarczyło spojrzeć na załogę, aby dostrzec, że statek miał ważne i specjalne zadania. Składała się ona wyłącznie z doświadczonych wilków morskich, tak przebranych wśród wielotysięcznej rzeszy marynarskiej, że na wyprawę do piekła nie wyznaczono by lepszych. Bo też i piekielnie trudny był cel wyprawy: odnaleźć ślady dawnych duńskich osad na Grenlandii, o których słuch już od kilkudziesięciu lat zaginął.

Dowodził wyprawą pochodzący z Polski **JAN Z KOLNA**. Pierwszy z polskich podróżników-odkrywców, na wpół jeszcze legendarny. Dowódcą wyprawy mianował go podobno sam król duński. Optynawszy Norwegię, Jan z Kolna kierował się na zachód, ku Grenlandii, mijając wyspy Owcze, Sztelandzkie i daleką Islandię.

W kilka dni potem statek wpadł w mgłę. Naprawdę załoga wyteżała oczy, usiłując odnaleźć na niebie znajome gwiazdy. Możliwość natrafienia na góry lodowe nakazywała bezustannie pogotowie. Mimo usilnych starań kapitana i załogi, statek stracił kierunek i płynął na oślep.

Wkrótce mgła ustąpiła. Wówczas, ku zdumieniu wszystkich, na horyzoncie ukazał się ląd, niepodobny w niczym do oczekiwanej Grenlandii. Był to... półwysep Labrador. Rzecz działa się w roku 1476: Jan z Kolna, na 16 lat przed Kolumbem, dotknął swą stopą amerykańskiego lądu.

2 „**JA, PANIE KOCHANKU**, żadnych nie mam do podróży powodów... tylko że mnie świerzbii użyć przejażdżki — chcę zobaczyć, czy wiele durniów na świecie!” — zawołał **JOŚWIECONY RADZIWIŁŁ SIEROTKA**, kiedy mu famulus pokornie przedkładał, że w tak daleką podróż puszczają się i niebezpiecznie i kosztownie. Istotnie, w czasach tych (ok. 1580) peregrynacja do Ziemi Świętej była nielłatwą, a przede wszystkim drogą imprezą. Ale Radziwiłł na koszty mógł się nie oglądać. Peregrynacja odbyła się, i to z całą należąca radziwiłłowskiemu domowi wspaniałością i powagą. Plan był prosty: korowód karet i wozów miał skierować się na przód do Italii, do Rzymu, a potem „ambarkować się w którymś z portów włoskich na weneckiej lub ne-

apolitańskiej nawie; dalszy kierunek podróży zależeć miał od wiatrów i woli samego księcia pana”.

Bo też nie miał książe ambicji podróżnika-odkrywcy. Podróż była jednym z wybrków pańskiej fantazji, z jakiej słynął. Nie przeszłaby też do historii, gdyby jej nie wziętą za temat powieści (nieskończonej) Juliusz Słowacki.

Same przygotowania zajęły wiele tygodni czasu. Z piwnicy wyciągnięto najkosztowniejsze omszałe wina. Księżna i dworki pakowały wspaniałe stroje. Zabrane makaty i dywany miały w jednej chwili zamienić przypadkową gospodę na salę godną niewzleskiego zamku. Wreszcie przygotowano kuferek wypełniony złotem, do którego klucz miał sam książę. Na pożegnanie odbyła się wspaniała zabawa. Wreszcie pan Armider, dowodzący prywatną artylerią JOŚWIECONEGO dał znak, i 12 puszek ryknęło zgodnym ogniem... Książę, żegnany łzami żony i córek, wyruszył w daleką drogę.

3 „**UROCZYSTOŚCI** miały się ku końcowi. Od wsi dochodziły już rytmiczne uderzania bębnow. Wokół **BENIOWSKIEGO** zebrali się wodzowie szczepów północnego Madagaskaru. Przed chwilą zawarli z nim braterstwo krwi, odwieczny obrzęd, zwany „fatodra”. Wielu spoglądało nań z tajonym podziwem, a może i ze strachem. Wierzyli, że jest potomkiem dawnej ich, legendarnej kró-

lowej, wywiezionej przez nieznaną napastników na wyspę Reunion, z której też przybywał Beniowski. Wybrali go swym wielkim królem: ampanzankabe. Przysięgli mu na wierność i na ułożoną przez nich konstytucję, którą zawierała prawa dziwne, ale sprawiedliwe... Działo się to w roku 1776.

Beniowski siedział zadumany, wśród gromady rozprawiających wódzów. Myślał o przedziwnych

kolejach swego losu. Wspominał Konfederację Barską, bunt na Kamczatce, ucieczkę z zesłania, romantyczną podróż przez dwa oceany z gromadą zbierców i z piękną córką rosyjskiego gubernatora. Znalazł się teraz o dziesiątki tysięcy kilometrów od ojczyzny. Pragnął stworzyć dla wpoi niezależne państwo Madagaskaru, przynieść krajowcom pokój, wiedzę i dobrobyt. Był u szczytu swych marzeń.

Ale czuł już, że zawisłi kupcy z Reunion (francuska kolonia), knują przeciwko niemu bezustannie intrygi, strzegąc swych dochodów, opartych na przywileju handlu niewolnikami. Chciał związać się silniej z Malgaszami, aby móc stawić czoło Reunionczykom. Był pewien, że zwycięży. W rzeczywistości przegrał. W kilkanaście lat po scenie tu opisaną poległ od zdradzieckiej kuli, broniąc się przed napadem oddziału nastanego przez wrogów.

...Bębny odezwały się znów. Rozpoczynała się kilkudniowa zabawa na cześć nowego władcy...



4 **DIWNY** to człowiek, który usiedzieć w domu nie może. Majątku wcale nie pilnuje, żonę — najpiękniejszą podobno w Polsce kobietę — opuszcza w kilka miesięcy po ślubie, aby odbyć długą podróż po świecie! Pieniądże ceni o tyle tylko, o ile umożliwiają mu pracę naukową. Nad wszystko przekłada towarzystwo ksiąg i uczonych. A także ulubionego Turka w czerwonym fezie, którego nie wiadomo gdzie złowił, i białego zabawnego pudła.

Jest to **JAN POTOCKI**. Mimo młodego wieku, życie miał już bujne: był w Syrii, Libanie, Egipcie, Algierze, Maroku, polował na lwy na Saharze i obserwował tańczących derwiszów w Kairze. Mówi wszystkimi arabskimi dialektami. Słucha chętnie wschodnich opowiadań i bajek, na których wzór napisał swą świetną powieść, „Rękopis znaleziony w Saragossie”. Tak pasjonującą, że kilku plagiatorom zapewni

slawę i majątek. Ale główną jego ambicją jest nauka. Pisze bezustannie wspomnienia ze swych podróży: opisy obyczajów i folkloru arabskiego. Nie obca mu historia i geografia: pozostawił po sobie kilkanaście wartościowych książek o znacznej wartości naukowej.

Ale też — trzeba przyznać — dziwak z niego niełada. Mówią, że kiedy jego książki nie rozchodziły się tak, jak się spodziewał, całym nakładem kazał groble w swych majątkach naprawiać. Na oczach zdumionej Warszawy wznosił się w roku 1791 w niebo balonem Blancharda — co uchodziło za szczyt ryzykanctwa i ekstrawagancji. Śmierć też wybrał sobie dziwną: rozgoryczony niepowodzeniami i smutną sytuacją kraju, za który w młodości krew przelewał, zastrzelił się w chmurny październikowy ranek z pistoletu, nabitego srebrną kulą od cukiernicy.



5 **WYPRAWIE** zaczynało brąkować wody. Konie padały co kilkadziesiąt metrów. Ludzie kładli się z rozpaczą na ziemię, szukając odrobiny cienia pod niskimi, suchymi krzakami. W końcu **STRZELECKI** kazał spieszyć karawane. Konie dobito, pakunki przebrano i większość pozostawiono w stepie. Śmiertelnie zmęczeni podróżnicy powlekli się z najwyższym wysiłkiem naprzód...

Od czasu, gdy wyprawa, kierowana przez polskiego podróżnika, Jana Strzeleckiego, opuściła osadę, położoną nad rzeką Pombo i zapuściła się w pustynny Gipland, jedną z najmniej znanych okolic Australii, nie napotykała jeszcze żywego człowieka. Jej celem było dotarcie do Western Port, położonego na przeciwnym krańcu pustkowia. Strzelecki podróżował po Australii już uprzednio, od roku 1839, zdobywając nieznanne szczyty górskie, z których jed-

nemu nadał nazwę Mount Kościuszko (na pamiątkę podobieństwa do krakowskiego kopca Kościuszkę), kreśląc mapy rzek i wznieśnień, badając florę i faunę Australii. Odkrył też żyły złota, które później miało przyciągnąć do Australii tysiące szukających szczęścia nędzarzy i awanturników. Był podróżnikiem z zamiłowaniem. Opuścił rodzinny Klekz pod Poznaniem już w młodości, zachowując zresztą w sercu zawsze obraz ojczyzny. Osiadłszy w Anglii, puszczal się na dalekie wyprawy do obu Ameryk, Indii i Oceanii. Dopiero jednak wyprawa australijska w której zrobił ważne odkrycia, przyniosła mu powszechne uznanie i sławę.

Tym razem o mało wyprawa nie zginęła marnie w pustyni. Wkrótce wypity ostatnie krople wody. Jeden Strzelecki nie tracił nadziei. Szedł na przódzie, badał horyzont, szukał źródeł. W końcu trafił na krajowców, obserwujących go bacznie zza krzewów. Ich obecność zwiastowała upragnioną wodę...



6 **TRZEBA** było robić dosłownie wszystko. Zadanie prawie nad siły jednego człowieka. W zacofanym kraju stworzyć instytut techniczny: wystarać się o odpowiednie budynki, założyć laboratoria chemiczne i górnicze, zakładać muzea i gabinety, stworzyć niższe kadry naukowe, dokształcać studentów, służyć radą powstającym jak grzyby po deszczu przedsiębiorstwom przemysłowym. Trzeba było prawdziwego entuzjasty, zdolnego do nadludzkiej pracy. **IGNACY DOMEYKO**, przyjaciel Mickiewicza, powstaniec z 1831 r. posiadał wszystkie zalety, niezbędne dla pioniera nauki.

Podróżował też z wielką pasją po nieznanych zakątkach Chile, gdzie był na przykład organizatorem i profesorem instytutu technicznego w Coquimbo — Serena, później rektorem w Santiago, stolicy kraju. Wybierał się w podróż

z kilkoma współpracownikami, wyposażony w niezbędne instrumenty naukowe i w wielką porcję odwagi i wytrwałości. Wdrapywał się na szczyty Andów, aby oznaczyć granice wiecznego śniegu, schodził w głąb przepaści stych dolin, aby odszukać źródła cennych wód leczniczych. Nie wahał się zapuszczać w najbardziej karkołomne przejścia, aby odkryć nowy minerał, lub dowiedzieć ważnej tezy naukowej, jak na przykład, że ląd chilijski pochodzi z epoki trzeciorzędu...

Całymi miesiącami żył także wśród tubylczych ludów Araukarii. Zawarł z jej mieszkańcami przyjaźń, poznał ich zwyczaje i dzieje. Jako pierwszy białły zwrócił w swych dziełach uwagę na nędzę i niegodny wysiłek krajowców. Narod Chile umiał mu też się odwdziżyć. Umarł w roku 1889, otoczony ogromną popularnością i czcią całej ludności.



7 **STOCZYWSZY** krwawą utarczkę z malajskimi korsarzami, w której o zwycięstwie zadecydowała tylko ostateczna determinacja kapitana, gotowego wysadzić swój statek razem z napastnikami, zgłowił „Le cygne de Granville”, skierował się na południe. Załoga wydawała się najdziwniejszą zbieraniną: Europejczycy sasiadowali tu z Malajczykami, Hindusami i Murzynami. Wybuchy kłótni i bójki; uśmiechał je żelazną ręką kapitan, znany ze swej surowości, odwagi i sprawiedliwości w traktowaniu ludzi wszystkich ras.

Był to **ADAM MIEROSŁAWSKI**. Brat rewolucjonisty, odbył służbę morską we flocie francuskiej. Życie dzielił między romantyczne wyprawy handlowe na Oceanie Indyjskim a uczestnictwo w rewolucyjnych wojnach wyzwoleniczych w Europie. Ocean Indyjski

znał jak własną kieszeń. Toteż, dążąc na południe, nie spodziewał się trafić na żadną wyspę ani ląd. Marynarz, czuwający na bociąm gnieździe dał jednak znać, że na horyzoncie ukazała się wyspa, nieoznaczona na żadnej mapie. Mierosławski odkrył na nowo wyspę, o której wspominali holenderscy i hiszpańscy żeglarze XVI wieku, a która później została doszczętnie zapomniana tak, że geografowie nie wlezyli w jej istnienie! Wyspa St. Paul! Holendrzy wspominali jeszcze o drugiej, nazwanej Nowy Amsterdam — i tę odkrył na nowo. Co za radość!

Mierosławski powrócił do Europy, aby wraz z bratem wziąć udział w rewolucjach 1848 r. na Sycylii, w Niemczech i Węgrzech. Zniechęcony ich upadkiem, szukał zapomnienia w coraz to bardziej szaleńczych podróżach. Zginął na szlaku Australia — Madagaskar 6 maja 1851, przypuszczalnie zamordowany przez załogę w celach rabunkowych.



8 NA PODRÓŻNYCH, którzy za kilka chwil mieli wyruszyć łodziami w dalszą podróż wzdłuż Amuru, czekało nad rzeką już kilkunastu tubylców. Okazja była niebywała: między podróżnymi znajdował się lekarz. Mieszkańcy pobrzeży Amuru mieli już możliwość przekonania się o cudach jego nowoczesnej medycyny. Pragnęli i tym razem zwrócić się do lekarza-podróżnika z prośbą o pomoc, tym bardziej, że znany był on ze swego ludzkiego i serdecznego stosunku do tubylców. Był Polakiem i nazywał się **BENE-DYKT DYBOWSKI**.

Na Syberii znalazł się po upadku powstania styczniowego, zesłany na 15 lat katorgi w Nerczyńsku. Gdy karę katorgi zamieniono mu na karę osiedlenia, przeprowadził razem z towarzyszami szereg ekspedycji naukowych, wędrując po

okolicach Bajkału, po stepach między rzekami Ononem i Argunem, po kraju Amurskim i Uguri. Odkrył wtedy między innymi rzadki gatunek plamistego jelenia. W czasie swych wędrówek tak pokochał daleką Syberię i jej mieszkańców, wśród których słynął z dobroci i ofiarności jako lekarz, że po powrocie do kraju zorganizował nową wyprawę na Daleki Wschód. I tym razem zatroszczył się o zaniedbanych przez rząd carski tubylców. Na wyspie Beringa zaaklimatyzował pożyteczne renifery i konie, na Kamczatce — kozy królik. Zbierał materiały do swych licznych prac zoologicznych, antropologicznych i lingwistycznych. Objął potem katedrę zoologii w kraju i nie przerywał do końca życia intensywnej pracy naukowej. Umarł w 1930 r. licząc lat 97 jako jeden z najwybitniejszych polskich uczonych.



9 W CZERWCU 1898 r. statek „Belgica” wiozący na swoim pokładzie międzynarodową ekspedycję naukową, badającą Antarktydę, został w okolicach Ziemi Aleksandra pochwycony w kleszcze lodów i unieruchomiony. Należało pogodzić się z koniecznością przetrwania długiej antarktycznej nocy na lodzie. Natychmiast rozpoczęto „przeprowadzkę”: zainstalowano namioty, przeniesiono pożywienie, sprowadzono ze statku niezbędne narzędzia i aparaty naukowe. Uczeń cały wolny czas poświęcał badaniom i pomiarom. Nie udało im się odkryć nowych antarktycznych lądów, ale przywieźli ze swej wyprawy cenne obserwacje, które umożliwiały ich następcom odkrycie ziem położonych bliżej bieguna — i w końcu dotarcie do samego bieguna. Wśród ekipy „Belgiki”, w skład której wchodził także sławny później A-

mundsen, znajdowali się również dwaj Polacy: **HENRYK ARCTOWSKI** i **ANTONI BOLESŁAW DOBROWOLSKI**.

Tak więc nie było części świata, w której poznaniu nie odegraliby roli polscy podróżnicy. Bo też tych dziewięciu, których dzieje opisaliśmy powyżej — to nie wszyscy. Już w XII wieku polski zakonnik zawędrował aż na dwór Dżyngis Chana, Dantyszek, pierwszy nasz zawodowy dyplomata, zwiedzał Bliski Wschód w dwa wieki później. Mieszczanin warszawski Muratowicz w XIV w. podróżował do Persji i pozostawił ciekawy pamiętnik. W bliższych nam czasach kilku badało Oceanie, kilku Afrykę, zaś zastęp polskich wędrowców, którzy przewędrowali dalekie kresy Azji, obejmuje kilkadziesiąt zaśluzonych dla nauki nazwisk. Także i w poznawaniu świata zasłużyli się więc niemało.

Rysunki: Antoni Uniechowski. Teksty i opracowanie: Jan Błoński

MĘSTWO ŚMIAŁOŚĆ ODWAGA

OD KAROLA MAYA DO CHŁOPCÓW Z CISZĘCINA

Napisał: KAZIMIERZ KOŹNIEWSKI

Co pan sądzi o powieściach Karola Maya?

A kilkaset chłopięcych czupryn poruszyło się ruchem gwałtownego zaciekawienia. Co odpowie im teraz pisarz, który już od kilkudziesięciu minut gawędzi o rozmaitych powieściach i rozmaitych autorach. Ja — ów pisarz — poczułem prąd żywej emocji, jaki przeleciał przez salę zapelnioną młodzieżą uczącą się koksochemii w przyzakładowej szkole. Ucieszyłem się. Nareszcie pytanie żywe, a nie podszeptnięte przez miejscowego polonistę! Pytanie, spoza którego czuję pasję wielkiej przygody — tak przecież właściwą chłopcom szesnasto- siedemnastoletnim. Opowiedziałem im więc szeroko i długo o tych powieściach napisanych przez kiegoś awanturnika, obdarzonego niewątpliwie talentem naracyjnym, ale w dotkliwy spo-

sób fałszującego (zgodnie zresztą z tendencją całej tzw. „indiańskiej” i „traperskiej” literatury burżuazyjnej) tamtą potworną tragedię szczepów indiańskich okrutnie wyróżnionych i zniszczonych przez bohaterów powieści Karola Maya. Pozorna „szlachetność” i pozorna „sprawiedliwość” bohaterów Maya służyłoby obiektywnie tylko tym głębszemu zakłamaniu zbrodni popełnionej na czerwonym człowieku przez europejskich, a potem już amerykańskich, konkwistadorów. Te fałszywe książki napisane są jednak z ogromną pasją, spiętrzone są w nich przygody, jedna na drugiej, poto tylko by czytelnik zatracił się zupełnie w ich fałszywym uroku, a bohater pokonywując przeszkody stawiał się coraz bardziej wspinał.

Pionierskie pokonywanie przeszkód — to jakże szlachetna cecha młodości! Literatura burżuazyjna żerując na niej potrafiła potworną zbrodnię ludobójstwa uczynić tematem szlachetnych w założeniu marzeń.

Nie wiedzieliśmy co...?

I chyba właśnie w tym samym dniu, — było to jesienią tego roku — kiedy ja chłopcom rozpalałem do literatury pełnej przygód

wyjaśniałem jej właściwy sens — inni chłopcy pisali do Zarządu Głównego Związku Młodzieży Polskiej listy. Listy bardzo interesujące! Jeden z nich wysłał ZMP-owcy z Zakładów imienia Strzelczyka w Łodzi, drugi — pięciu chłopców ze wsi Ciszęcina. List chłopców z Ciszęcina zawierał słowa takie: „Chcemy pójść tam gdzie jest najtrudniej, gdzie jesteśmy najbardziej potrzebni... Każdy z nas od małego myślał, żeby dokonać w życiu czegoś niezwykłego, bohaterskiego. Nie wiedzieliśmy co, a teraz już wiemy...”

Nie wiedzieliśmy co... Przed każdym pokoleniem młodzieży staje zawsze to samo pytanie. Pamiętam własne lata młodości szkolne, gdy nad lekturą przeróżnych powieści przeżywał ogromne żale, że oto o niepodległość mego narodu już walczyć nie trzeba, że Dzięki Zachód już nie woła o pionierów, że okres wielkich przygód w podróżyach do łądów nieznanych już się praktycznie skończył. W zupełnym mętliku pojęć żalowałem po równi, że mi nie dano wyzwalać narodu własnego, jak ujarzmiać (czymż innym była cała „epopeja Dzikiego Zachodu”) narodów innych.

Pokoleniu mych rówieśników — i mnie samemu — życie nie oszczędziło przygód: najstraszliwszych. W nich poznaliśmy jak bardzo niepełną była międzywojenna „niepodległość”. Poznaliśmy los czerwonostrzyczek, tylko że czerwonostrzyczkami byliśmy my sami... Po-

znaliśmy lądy dalekie przyodziani w zgrzebne koszule wygnañców. I gdy my z najwyższą radością witaliśmy pokój i... spokój — nasi młodzi bracia znów zgłaszają do swego losu pretensje o wielką przygodę. Oni z kolei marzą o wyczynach i bohaterstwie. Oni z kolei łapczywie szukają lektury Maya, Coopera, Curwooda, Brandta, a gdy im ktoś wyjaśni — czego nikt nie umiał lub nie chciał wytłumaczyć moim rówieśnikom — istotny, choć skryty sens tych powieści, że wstrętem odwracając się, wołają o inne bohaterstwo. To ich wołanie nie pozostaje już bez odpowiedzi. Odpowiedź naprawdę pięknej, innej niż ta, którą myśmego swego czasu otrzymali. I oto piątka z Ciszęcina tak pisze dalej w swym liście:

...Już wiemy!

„...nie wiedzieliśmy co, ale teraz już wiemy. Pójdziemy na trudną pracę. Wiemy, że w pracy można być bohaterem. Znamy takich bohaterów jak Pstrowski lub Markiewka, czytaliśmy o nich. I my chcielibyśmy być takimi bohaterami. Chcemy iść do kopalni. Walka będzie trudna, ale tacy jak Waryński, Janek Krasicki i wielu innych, to nawet życia nie żalowali...”

Tym kilku chłopcom rzeczywistość kraju budującego wielki przemysł, wcielającego w życie wielkie reformy społeczne, tworzącego w Niemalym trudzie codziennych dni socjalizm — dostarczyła tematu do bohaterskich ma-

rzeń. I tak jak czytelnik Karola Maya, z radością utożsamiał się z bohaterami mającymi do pokonania fikcyjne przeszkody przerastające jednak siły normalnego człowieka — tak każdy dzień Polski Ludowej każdemu chłopcu i każdej dziewczynie jest w stanie dostarczyć zadań do pokonania, których pokonanie przerasta siły normalnego „zjadacza chleba”. Zadania te nie będą łatwe. „Walka będzie trudna” — piszą chłopcy z Ciszęcina. I to właśnie jest sensem całej sprawy: walka będzie trudna! Włec wymagać będzie i wymaga bohaterstwa. Gdyż nie samymi różami ułana jest droga do zwycięstw socjalizmu.

Odważni ludzie

„Ojczyźnie potrzebni są ludzie odważni, którzy nie lękają się niewygód, i gotowi są pójść tam, gdzie toczy się decydująca bitwa, tam gdzie rozstrzygają się losy całej walki...” stwierdza apel Zarządu Głównego Związku Młodzieży Polskiej.

Komunikat PKPG doniósł niedawno, że nie został wykonany plan produkcyjny hut metalu. Hutnictwo jest najtrudniejszym odcinkiem naszej walki o uprzemysłowienie Polski. Powstające w coraz to większych ilościach zakłady przemysłowe wymagają węgla, więc zużywa węgla więcej niż kiedykolwiek przed wojną, ludność miast uskarża się na konieczność poważnego oszczędzania opału. Węgiel, oto siła motoryczna naszego przemysłu i niezbędny składnik naszego życia codziennego. Węgla ciągle jest nam mało, bo choć go mamy wielokrotnie więcej niż przed wojną, nasze potrzeby wzrosły jeszcze bardziej.

Do stali i do węgla potrzebni są pracownicy, którzy potrafią sprostać wszelkim trudnościom — „potrzebne będzie męstwo, śmiałość i odwaga” — głosi apel Zarządu Głównego ZMP i wzywa: „Stawajcie do pionierskiego zaciągu. Stawajcie do pracy w kopalniach i na najtrudniejszych posterunkach przemysłu metalowego... Wnieście do kopalń i najważniejszych zakładów pracy swą odwagę, nieustępliwość i zapał. Umacniajcie tam dyscyplinę pracy i rozwijajcie ruch przodownictwa i współzawodnictwa... Naprzód na bohaterką drogę komсомольских budowniczych Magnitogorska i Wolgo-Donu. Bądźmy nieomalni jak młodzież ludowej Korei, wzorujemy się na odwadze Henri Martina we Francji”.

10 października 1952 roku Zarząd Główny ZMP, odpowiedział na liczne listy młodzieży, która wciągnięta w współzawodnictwo złotowym na szlak wielkich wydarzeń i spraw narodowych — zaślonała pragnieniem czynów naprawdę poważnych i godnych jej marzeń o wielkim bohaterstwie. Ogłoszony został ochotniczy zaciąg pionierski. Wezwana została najlepsza młodzież zarówno zetemowska jak niezorgarizowana, by swych zdolności i sił użyla do przełamania trudności, jakie są udziałem naszych czasów. Nie na wyarty tor osobistych i łatwych korzyści wezwano młodzież, ale na walkę, na trud, na wysiłek.

Nie wszędzie zarządy terenowych organizacji ZMP należącej pojęły swoje agitaacyjne zadanie. Miast przemawiać do młodych językiem heroicznego obowiązku narodowego — tu i ówdzie próbowano starych metod werbunkowej biurokracji. To najłatwiejsze — ale i najgorsze.

Tam jednak, gdzie heroizm pionierskiego zaciągu zdołał targnąć młodzieżą ambicją — meldowali się na punkty zgłoszeniowe co najlepsi aktywiści terenowi. Zgłaszali się chłopcy ze wsi i z miast. Nie wszyscy posiadali warunki zdrowotne, by pracować w ciężkim przemyśle. Nie wszyscy, którzy

pragnęli zgłosić się do pionierskiego zaciągu mogli opuścić swe odpowiedzialne warsztaty pracy. Nie wolno jednak było marnować cennego zapasu. W fabrykach powstały wtedy pierwsze brygady pionierskie z zadaniem podejmowania pracy wszędzie tam, gdzie istnieją specjalne trudności. Pierwsza ruszyła do walki brygada pionierska w warszawskiej fabryce motocykli. W Nowej Hucie, brygada pionierów z „Mocostalu“ przeprowadziła montaż dwóch konstrukcji (zamiast jednej) w ciągu ośmiu godzin. Dziś brygady młodych pionierów pracują już w wielu zakładach pracy.

Pierwsi pionierzy

4 października na punkcie zbórnym w Bytomiu zameldowali się pierwsi pionierzy. Ekspedient pocztowy z Kieleckiego, kolejowy urzędnik oddziału drogowego z Siedlec, propagandzista powiatowy ZMP ze Stalowej Woli, chłopcy ze wsi bydgoskich (niemal połowa chłopców z pierwszego turnusu zaciągu pionierskiego była z województwa bydgoskiego — widomy znak dobrej, właściwej pracy tamtejszych ogniw ZMP!) których poświeciła chęćka mierzenia swych sił z zadaniami poważniejszymi niż praca na roli kulaćkiej czy nawet rodzinnej. Aktywiści ZMP meldowali się w całym poczuciu powziętej decyzji: najlepsi świadomie wybierali pracę najtrudniejszą. Ważyły i inne motywy: chęć życia w wielkim skupisku miejskim pociągała chłopców ze wsi. Są i tacy, którzy już w roku zeszłym meldowali się do węgla — a przeszkodą przyjęcia był im wtedy wiek. Są wśród nich i skuszeni stosunkowo poważnym zarobkiem. Do ambicji każdego przemawiała wyjątkowość zaproponowanych zadań. I tego waloru nie wolno kierownikom kopalni zmarnować.

29 listopada — zakończył się 6 tygodniowy kurs, bardzo intensywnego i specjalnie zaplanowanego szkolenia górniczego w szkole zaciągu pionierskiego w Mysłowicach, w kopalni szczególnie trudnej. Pierwszy turnus młodych górników — dokładnie: młodszych aspirantów górnictwa — (złoty pasek i jedna para kilofów w kółeczku!) — zjechał do pracy w kopalniach. I oto teraz rozpoczyna się sprawa najważniejsza: albo młodzi chłopcy rzeczywiście poczną, iż wezwano ich do pokonywania zadań wymagających specjalnej dzielności — i wtedy za nimi, za pierwszą gromadką stukilkudziesięciu pionierów, pójdą dalsze tysiące młodzieży taknącej zadań niezwykłych, albo też biurokracja kopalniana roztopi ich entuzjazm w bylejakich robotkach. Oczywiście niezwykłość zadań musi być na miarę sił chłopców i na miarę przydzielonych im na instruktorów górników starszych — ale być musi! Nie po przywileju i nie po wygodzie zjechali się młodzi pionierzy — ale po walce. I tylko w walce pójdą za nimi inni.

Do tej chwili zaciąg pionierski objął jeszcze nader szczupłe ilościowo kadry. Turnus chłopców, którzy już zjechali do kopalni — to stukilkudziesięciu pionierów. W Rusinowej i w Mysłowicach (w szkole, jak wymarzonej do nauki tego rodzaju: zewsząd dookoła widać wieże górniczych wyciągów) — uczą się dwa dalsze turnusy — znowu po stukilkudziesięciu chłopców. Ale już następne turnusy mają mieć po czterystu w samych tylko Mysłowicach. Tworzą się dalsze szkoły zaciągu pionierskiego w Bytomiu i w Tarnowskich Górach. Za pierwszymi już poszli inni. Z każdej brygady pionierów wysyłane są listy — do domu, do

koła ZMP, do kolegów i przyjaciół. Listy zachęcają następnych. Agitacja terenowych zarządów ZMP jest coraz doskonalsza. Coraz mocniej uderza ona w właściwy ton pionierskiego zaciągu — idziemy na wielką przygodę! Jesteśmy powołani do pokonywania przeszkód specjalnie groźnych! Dzięki nam w Polsce nie zabraknie ni węgla ni stali.

Lecz wysyłane są i inne listy.

Falszywa depesza i prawdziwa uciezka

Był taki dzień w szkole w Mysłowicach — kilka tygodni temu, w listopadzie, że wracających z kopalni pionierów zaczęli stary chłop stojący na zsośle wraz z małym chłopcem.

- Gdzie mój Józek? — pyta.
- Jaki Józek? — odrzekł.
- Molenda.
- A gdzie ma być. W szkole!

Chłop nie wierzył. Razem z uczniem przywędrował do mysłowickiej szkoły. Podejrzliwie zdumiony był sprzecznnością odpowiedzi — chłopców i dyrektora; Józka w szkole nie zastał; mówili, że wyjechał do Katowic do teatru, akurat na przedstawienie sztuki Korniejczuka, „Zagłada Eskadry“ — sztuki o tym, jak rewolucja walczyła ze zdraździecką „kontrą“. Ojciec na sali syplalnącej wraz z młodszym synkiem czekał powrotu starszego. Bał się... Jeszcze przecież wczoraj, trzymał w ręku depeszę z Mysłowic nadaną, w której czarno na białym było napisane, iż Józef Molenda zabity został w wypadku, w kopalni. Matka ryknęła płaczem. Ojciec wziął bratczka i przyjechali po ciało starszego syna... A ten w teatrze, a tu wszyscy o nim mówią, jak o żywym...

Jeszcze tegoż wieczora posłała do domu depesza, że Józek Molenda cały i zdrow. Wieś rodzinna Józka przeżyła drugi alarm — tym razem radosny. Ojciec został aż trzy dni w szkole — tak mu się w tych Mysłowicach podobało. Obiecał przysłać i młodszego synka na górnika.

Telegram z fałszywą wiadomością nadał wróg, któremu zależało na tym,

by jakimkolwiek sposobem zahamować dopływ ludzi do naszego węgla. Nadał ten sam wróg, który w roku 1946 przysłał z obozów harcerskich depesze do rodziców, że dzieci ich potopiły się czy pochorowały. Wtedy chciano zburzyć zaufanie do kolonii i do szkół, chciano odciągnąć dzieci od postępowego wychowania. Teraz fałszywa depesza miała sens podobny: wróg chętnie widzi, gdy któryś z młodych ładaczy się i chuligani, ale przeraża go myśl o tym, że może u nas wyrosnąć młode i dzielne pokolenie. Przeraża go fakt, że młodzież nasza może rozplenić się heroiczną wolą walki i pracy dla socjalizmu. A taki właśnie jest cel i sens zaciągu pionierskiego. Wróg brudzi jak umie. Atakuje nie tylko podstępem, nie tylko oszukańcym listem. Penetracja odbywa się również w nieco inny, mniej bezczelny sposób. Po przez rodziców.

Oto inne wydarzenie z tejże mysłowickiej szkoły. Chłopak — istny zuch! Pewnego dnia płacząc i wyrzekając pojawia się w szkole jego matka. Z ciężkim oskarżeniem: uciekłeś z domu bez pozwolenia rodziców! (Inne czasy — ja pamiętam jak uciekałem z kolegą bez pozwolenia rodziców na biegun północny, ale przyłapał mnie już w Grodzisku Mazowieckim. Dziś młodzi uciekają bez pozwolenia z domu do pracy w górnictwie.) Oskarżenie na tym się nie wyczerpuje: ojciec zachorował przez ciebie! Cóż robić — chłopak na trzy dni jedzie do domu, by zobaczyć chorego ojca. Po trzech dniach wraca do pracy w Mysłowicach... — chce być słowny! przepustka miała termin tylko trzydniowy! Ale po kilku dniach ucieka. Matka odsyła z domu mundur, buty, czapkę, zwraca pieniądze za kilkutygodniowe utrzymanie syna w szkole pionierskiej. Ochotnik zdezerterował. Wycofał swe zgłoszenie. Nie potrafił przemóc presji rodzinnego środowiska, które nie zrozumiało, że w ten sposób skazuje chłopca na wielki zawód życiowy, podcina skrzydła jego pięknym marzeniom, i — odciąga go od pozytywnej pracy dla Polski Ludowej.

wej. Bądźmy dociekliwsi: o to ostatnie przede wszystkim chodziło. Chłopak nie zdołał wyłamać krata reakcyjnej rodziny.

Pionierzy

3 grudnia był Dniem Młodego Górnika. W szkole w Mysłowicach drugi turnus pionierskiego zaciągu dobiegł połowy swego szkolenia. Niebawem przyjedzie turnus trzeci. Korzystając z wolnego czasu kilku młodych górników — młodszych aspirantów — przywędrowało z okolicznych kopalni, gdzie od tygodnia już pracowali pod ziemią, do swej szkoły. Wspaniale prezentowali się w stalowo-szarych mundurach i okrągłych czapkach. Za pierwsze otrzymane pieniądze każdy z tych do niedawna jeszcze wiejskich chłopców kupił sobie skórkowe rękawiczki. To był wydatek z rubryki elegancji. Pytani o pracę w kopalni odpowiadali półsłówkami. To była ciągle zbyt wielka nowość, by zadowolenie z jej wykonywania mogło przyjąć bardziej konkretne formy własnych opinii.

Słuchając wielu młodych chłopców myślałem, czy organizacja partyjna i ZMP-owska kopalni potrafią podtrzymać w tych chłopcach płomień bohaterskiego wyczynu.

Od tego bowiem zależą dalsze dzieje pionierstwa naszej młodzieży. Od tego zależy czy w naszych fabrykach powstaną dalsze brygady pionierskie do zwalczania trudności, czy w naszych szkołach powstaną grupy pionierskie specjalnie do uczenia, od tego zależy czy liczba ochotników do węgla i stali, a potem może i do innych dziedzin przemysłu, będzie rosła.

Młodzież polska zerwała się do orlego lotu najwyższych osiągnięć! Niechże będzie on najwspanialszy. Niechże będzie on zaiste pionierski.

KAZIMIERZ KOŹNIEWSKI



Młodzi uczestnicy pionierskiego zaciągu po wyjeździe z kopalni (Fot. CAF.)

NOTATNIK korespondenta zagranicznego

Wyrok

30 września. Jemy nerwowo śniadanie i śpieszymy do trybunału. Dzisiaj ogłoszone będą przez sąd motywy wyroku. Sala wypełniona po brzegi. Oczy puchną od refleksorów.

Na sali rozpraw panuje śmiertelna cisza. Słychać tylko głos sędziego, którzy kolejno odczytują motywy wyroku. Na ławie oskarżonych spokój, ale z wyraźnymi oznakami zdenerwowania. Hess w końcu nie wytrzymuje. Załamuje się, dostaje jakichś kurczów, wyprowadzają go z sali. Ribbentrop przeciera twarz. Nie ma już młyny komiwojażera hitlerizmu, jest błądy i wie dobrze, że będzie musiał za swe zbrodnie zapłacić. Keitel, całkiem siny na twarzy, milczy. Kaltenbrunner patrzy ponuro na trybunał, gdy słyszy o rozkazie: „Nacht und Nebel”. On to kazał porwać ludzi, aby potem znikali jak we mgłę. Intrygant Papen, „diabeł w cylindrze”, wyciera oczy chustką. Frank patrzy w ziemię.

Cały dzień trwa czytanie motywów. Do hotelu wracamy przybici wspomnieniami hitlerowskich zbrodni. Tego wieczoru wszystkie imprezy były odwołane. Wszyscy robili notatki na dzień następny.

1 października. Rano śpieszymy co sił do sądu. Gwar na sali. Marszałek trybunału, generał Mitchell, wzywa do zachowania spokoju. Za chwilę wechodzi komplet sędziowski. Wszyscy wstają. Sędzia Lawrence rozpoczyna odczytywanie motywów do spraw poszczególnych oskarżonych. Ogłoszenie wymiaru kary nastąpi dopiero po obiedzie i to indywidualnie.

Schacht, Papen i Fritzsche zostają uniewinnieni. Trzeba zaznaczyć, iż amerykańscy korespondenci dowiedzieli się „po swojej linii” o ich uniewinnieniu i już podczas sesji dawali Papnowi i Schachtowi znać na migi.

Przy obiedzie wszyscy piekłą się na wyrok uwalniający ową trójkę. Jeden z Belgów krzyczy na całą salę: „Powiesić wszystkich łajdaków! My, Belgowie, Polacy, Holendrzy — znamy tych panów! Nikt nie powinien uciec szuara!” Tymczasem w sali prasowej trybunału (sławny pokój 580) telegraf, telefon i maszyny do pisania pracują bez przerwy. Świat łowi wieści z Norymbergi. Fotoreporterzy strzelają aparatami na wszystkie strony. Piszący na kilku maszynach, aby obsłużyć nasze gazety. Tyle mamy materiału, aż się w głowie kręci. Dziennikarze pracują jak w malinie.

Jeszcze tylko godzina dzieli nas od ogłoszenia wymiaru kary pozostałym „norymberczykom”.

Zbliża się kulminacyjny punkt procesu. Amerykanie trzymają zakłady. Anglicy interesują się odłotem samolotów. Przewrotny dyrektor biura prasowego, major Dean rozdaje korespondentom odbite na powielaczu gotowe „reportaże z sali obrad”. Wystarczy wstawić datę i wymiar kary: „Na sali wielki ruch. Wszyscy czekają na chwilę ogłoszenia wyroku. Oto wchodzi sędzia... aby odczytać wyrok... skazanego na... Oskarżony... błędnie i cofa się” itd. W Europejskich bzdurzy to wszystko niepoohamowany śmiech...

Gdy po przerwie obiadowej sędzia Lawrence otworzył ostatnią i najkrótszą sesję procesu norymberskiego, ława oskarżonych była pusta. Czekamy w napięciu. Po chwili otwierają się boczne drzwi i dwóch żołnierzy amerykańskich wprowadza pod rękę Goeringa. Staje on w przejściu i wkłada słuchawkę. Sędzia czyta, że jest on skazany na śmierć przez powieszenie. Goering jednak nie słyszy: coś popsuło się w aparaturze. Sędzia powtarza wyrok drugi raz. Nic z tego. Zamieszanie na sali. Goering macha ręką, uśmiecha się kwaśno. Dostają monterzy, manipulują coś przy drutach. Po minucie aparatura znów działa. Goering wkłada ponownie słuchawkę, prostuje się. Wypłowiwały mundur marszałkowski zwisa na nim. Sędzia Lawrence powtarza po raz trzeci:

chawki. Sędzia czyta, że jest on skazany na śmierć przez powieszenie. Goering jednak nie słyszy: coś popsuło się w aparaturze. Sędzia powtarza wyrok drugi raz. Nic z tego. Zamieszanie na sali. Goering macha ręką, uśmiecha się kwaśno. Dostają monterzy, manipulują coś przy drutach. Po minucie aparatura znów działa. Goering wkłada ponownie słuchawkę, prostuje się. Wypłowiwały mundur marszałkowski zwisa na nim. Sędzia Lawrence powtarza po raz trzeci:

„Oskarżony Hermann Goering winien jest zarzucanych mu zbrodni i skazany zostaje na śmierć przez powieszenie”. Goering stoi przez sekundę nieruchomo, po czym zdejmując gwałtownie słuchawkę i szybko znika za drzwiami. Powtórzyć się to z małymi zmianami kilkanaście razy.

Hans Frank zjawił się na sali po raz pierwszy bez swoich czarnych okularów. Staje niepewnie, rozgląda się, ręce rozczapierzył, nagle słyszy słowa, które obwieszczają mu smrotny koniec. Chwilę stoi, nie wie, co robić. Żołnierze zdejmują mu słuchawkę i niemal wyciągają z sali. O godzinie 15.37 przewodniczący Lawrence zamknął posiedzenie. Podał też do wiadomości, że sędzia radziecki założył

votum separatum do wyroku, protestując przeciwko uwolnieniu Schachta, Papena i Fritschego oraz domagając się wyroku śmierci dla Hessa. Domagał się również ogłoszenia za organizację zbrodnicze: sztabu generalnego i rządu Rzeszy. Otrzymałszy natychmiast od delegacji radzieckiej doskonałe opracowane motywy protestu. Zwróciło naszą uwagę, że podczas ogłoszenia wyroku śmierci na niemieckich generałów, anglosascy oficerowie opuścili salę trybunału. Prostą stąd wniosek, że wyrok był tym panom uprzednio znany i w ten sposób wyrazili swój protest przeciwko karze śmierci dla wojskowych.

DZIEJE MYŚLI KOPERNIKOWSKIEJ

Tekst: Dr TADEUSZ PRZYPKOWSKI — Rysunki: JERZY SKARŻYŃSKI



Po powrocie z Włoch do kraju Mikołaj Kopernik zostaje wciągnięty natychmiast do służby na dworze wuja — biskupa. Biskup warmiński Watzenrode był księciem udzielnym tego kraju. Wraz z sejmikiem pruskim, któremu biskup przewodniczył, prowadził on własną ożywioną politykę. Wśród wiru rozmaitych spraw państwowych Kopernik, rezydując u wuja na wspaniałym zamku w Lidzbarku, zaczyna tworzyć około roku 1510 zarys nowego układu wszechświata. Redaguje go w wolnych chwilach w piśmie zwanym: „Komentarzykiem”



Jednakowoż sprawy publiczne wymagały częstego jego udziału. Towarzyszy wujowi jako sekretarz, doradca prawny i lekarz, zarówno w sejmikach lokalnych jak w sejmach i zjazdach ogólnopaństwowych. Na obrazku widzimy Kopernika na zjeździe w Poznaniu w roku 1510, gdzie zostały odparte pretensje delegacji Krzyżaków. Część magnaterii polskiej już była skłonna puścić im w „dzierżawę” całe Prusy. Jednak zjazd w Poznaniu udaremnił krzyżackie zakusy. Kopernik był świadkiem, jak Krzyżacy z kwitkiem opuścili zgromadzenie



W roku 1512 następuje zakończenie tego okresu życia Kopernika i nagły w życiu tym zwrot. Oto w czasie jednej ze swych licznych podróży, które tak zapewne utrudniały Kopernikowi regularne badania i obserwacje nieba, biskup Watzenrode umiera w rodzinnym mieście Kopernika w Toruniu. Były przypuszczenia, iż otruli go szpierzy krzyżacy. Mikołaj asystuje przy śmierci wuja. Ciało jego, które zaraz po śmierci uczerniało, odwozi by je pochować w podziemiach wspaniałej katedry we Fromborku. We Fromborku też osiedla się już na stałe



Po zainstalowaniu się w baszcie fortecznej we Fromborku zabiera się Kopernik do gruntownych studiów i obserwacji astronomicznych. Używa odwiecznych, prostych przyrządów. Sam je z drzewa wykonuje. Oto widzimy go przed wieżą mieszkalną. Za pomocą kwadrantu mierzy kątową wysokość słońca na sklepieniu niebieskim. Odszedł właśnie od warsztatu stolarskiego, na którym własnoręcznie heblował listwy do innego przyrządu. W głębi wykończona już sfera armilarna czyli astrolabium, najbardziej przez niego używany przyrząd



Kopernik nie zna lunety, która dopiero w kilkadziesiąt lat po jego śmierci po raz pierwszy została użyta do obserwacji nieba. Wysokość słońca mierzy po prostu cienią rzucanym przez kołek drewniany na skalę kątową. Planety i gwiazdy obserwuje gołym okiem, przez otwory w blaszanych wizjerach. Wizjer były przymocowane do listew lub kół drewnianych z podziałkami znaczącymi inkaustem. Pozwalało mu to odczytywać kątowe odległości planet od siebie lub od gwiazd stałych. Takich instrumentów używano już w odległej starożytności



Odkrycie kopernikowskie powstało nie tylko dzięki obserwacjom prymitywnymi przyrządami, których używano już na setki lat przed nim, lecz przede wszystkim dzięki ścisłemu naukowemu rozumowaniu. Kopernik chciał wyjaśnić niezgodność tablic astronomicznych, obliczonych na bazie systemu geocentrycznego (geocentrum — środek) Ptolemeusza z realnymi obserwacjami. Jest on pierwszym astronomem — przyrodnikiem, który całkowicie odrzuca metafizykę i daje rzeczywisty obraz wszechświata w zakresie naszego układu słonecznego

Wieczorem wszyscy pracowaliśmy w pokoju prasowym. Pułkownik MacConnel, nowy szef Press Campu, wlatuje zaferowany z nowiną, że za chwilę zjawia się u nas Schacht, Papen i Fritzsche. Ledwie to powiedział, a już pułkownik Andrus, szef więzienia (znany ze swego wylakierowanego helmu i szpicruty) wprowadza uwolnioną trójkę zbrodniarzy. Część dziennikarzy protestuje, Amerykanie rozpoczynają jednak natychmiast pogon za sensacjami. Schacht powiada, że udzieli odpowiedzi i da autografy pod warunkiem, że otrzyma czekoladę dla swoich dzieci. Amerykanie „organizują” czekoladę i zadają pytania. Rosjanie, Francuzi i my protestujemy. Ma-

deleine Jacob wskakuje na stół i krzyczy do Schachta: „Nasze dzieci we Francji latami nie miały czekolady. A ich rodziców mordowało gestapo...” Robi się rwetes. Francuzi i Belgowie ciskają papierami w Schachta. Dziennikarze austriaccy grożą Papenowi i domagają się, aby wydać go Austrii — za prowokację anchlussowe. Jest tak „gorąco”, że wojskowa policja wprowadza hitlerowską trójkę. Nie mają zresztą dokąd iść, gdyż władze niemieckie domagają się wydania ich trybunałom denazyfikacyjnym. Idą więc spać do swych cel. Dopiero po kilku dniach ukradkiem opuszczają więzienie. Są nadal pod ochroną władz amerykańskich, ale Norymbergi nie

mogą opuścić, gdyż już na rogatkach czeka na nich niemiecka policja.

Interwencje, interwencje...

10 października. Żona skazanego na śmierć generała Jodla zwróciła się do generała Eisenhowera z prośbą o interwencję w sprawie ułaskawienia jej męża. Frau Jodl pracowała zresztą jako sekretarka obrońcy swego męża i stale kontaktowała się z mężem. Eisenhower przestał żonie Jodla list, w którym w uprzejmych słowach zapewnił ją, że nie omieszką przekazać jej prośby Sojuszniczej Radzie Kontroli. Syn Papena, który również bronił swego ojca, miał po procesie wrócić do obozu jeńców. Zja-

wił się dzisiaj na sali w cywilu. Okazuje się, iż uzyskał od generała Claya indywidualne zwolnienie!

12 października. Rada Kontroli odrzuciła wszystkie prośby o ułaskawienie. Wczoraj nastąpiło ostateczne widzenie skazańców z rodzinami. Amerykanie wyrażają współczucie dla losu Goeringa. Otrzymałmy dzisiaj również wiadomość od obrońcy Franka, adwokata Seidla, że kardynał Faulhaber poruszył sprawę konwertyty Franka w Watykanie. Wieczorem cała prasa niemiecka podaje to na pierwszej stronie. Seidl twierdzi, że telegram przyszedł za późno, już po decyzji Rady Kontroli. Faulha-



KONSTANTY ILDEFONS GAŁCZYŃSKI

Kronika Olsztyńska

Za tymi jeziorami już nie tylko krokiem,
Ale daremnie nawet zapuszczać się okiem;
Bo tam już wszystko mylistym zakryte obłokiem,
Co się wiecznie ze trzęskich oparzelisk wznosi.
A za tą mgłą na koniec (jak wieść gminna głosi)
Ciągnie się bardzo piękna, żywna okolica,
Główna królestwa zwierząt i roślin stolica.

A. Mickiewicz: „Pan Tadeusz”

I

Gdy trzcina zaczyna płowieć,
a żółdź większy w dąbrowie,
znak, że lata złote nogi
już się szukują do drogi.

Lato, jakże cię ubłagać?
prośbą jaką? łkaniem jakim?
Tak ci pilno pójść i zabrać
w walizce zieleni i ptaki?

Ptaków tyle. Zieleni tyle.
Lato, zaczekaj chwilę.

II

Dobrze jest nad jeziorem,
nawet porą deszczową.
Leśniczy wieczorem
lampę zapala naftową,
po chwili we wszystkich pokojach
naftowe lampy płoną,
a cienie od rogów jelenich
rozrastają się w nieskończoność.
Psy szczekają.
Trąbki północy bliskie.
A chmury pędzą po niebie
jak wielkie psy myśliwskie.

Zasypiamy.
Przytuleni do siebie jak dzieci.
Noc się wypogodziła.
Księżyc mruczy i świeci.

Pszczoly śpią.
Tylko woda chlupie o brzeg bez przerwy.
A nam się śnią polowania,
paprocie, jelenie i strzelby.

III

Rano słońce, rano pogoda,
idziemy do kąpiel.
Sama radość! Sama uroda!
Jak tu się nie weselić?

Z sosny słychać dziecięcia stuk.
A tutaj ryby bryzg! spod nóg.

Ech, bracia, wpław! I płynąć, pływać,
aż tam, gdzie z drugiej strony
wiatr roześmiany, wiatr przygrywa
na sitowia strunach zielonych.

IV

A w tych borach olsztyńskich
dobrze z psami wędrować.
A w tych jarach olsztyńskich
sośnina i dąbrowa.
Tęcza mosty rozstawia.
Jak Wenus pachnie szaławia.

Ptak siada na ramieniu.
Komar płacze w promieniu.
W dzień niebo się zaśmiewa,
a nocą się zagwieżdża,
gwiazdy w gniazda spadają.
Żal będzie stąd odjeżdżać.

V

Wszystkie szmery,
wszystkie traw kołysania,
wszystkie ptaków
i cieniów ptasich przelatywania,

wszystkie trzciny,
wszystkie sitowia rozmowy,
wszystkie drżenia
liści topolowych,

wszystkie blaski
na wodzie i obłokach,
wszystkie kwiaty,
wszystek pył na drogach,

wszystkie pszczoły,
wszystkie krople rosy
to mi jeszcze,
przyjacielu, nie dosyć —

chciałbym więcej ptaków,
drzew z ptakami.
więcej blasków, gwiazd, obłoków,
trzciny, kaczek na wodzie
i uchwyć to wszystko rękami,
ucałować to wszystko ustami
i tak zająć jak słońce zachodzi.

VI

Tyś jest jezioro moje,
ja jestem twoje słońce,
światłami ciebie stroję,
szczęście moje szumiące.
Trzciny twoje pozłacam.
Odechodzę. I znów wracam.

Międko moim kędziorem
w twoich zielonych szuwarach.
O, jezioro, jezioro
piękniejsze niż gitara!

A nocą przez niebios
zlatują sznurem długim
gwiazdy i na twoich włosach
siadają jak papugi.

VII

Tuman nad łąką dymi,
księżyc swój lichtarz wznosił.
Widzisz?

To noc się toczy jak wóz
z muzykantami wiejskimi.

Na łąkach końskich przysiadły sowy.
Bicz się chwieje. Wstążki kolorowe.
Uprząż kurant wydzwania.

Ech, uderzą siarczyste smyki!
Będą tańczyć jelenie i dziki
w leśnych salach do samego świtania.

VIII

Ze wszystkich kobiet świata
najpiękniejsza jest noc.

IX

Ona idzie, ona płynie, ona sunie
pod niebios ogromną bramą,
a wszystko jest piękne u niej,
a pachnie od niej wanilia i cynamon.

Z gór w doliny schodzi coraz głębiej,
a oczy ma piękne jak jastrzębie,
a nogi ma proste jak sosny.

Nadaremno się dziwisz i pytasz,
ma końca gwiazdzisty korytarz,
nie ma kresu dla nocy miłosnej.

X

Ona płynie szeroko,
wielka i wielodźwięczna,
krowom rogi osrebrza,
dachom gont omiesiecznia,
w sadach jabłka potrąca,
dzieciom jabłka w sny wkłada,
koło wielkie zatacza
płasom i śpiewom rada,
smykiem do okien stuka,
na jezioro wyciąga,
żeby płynąć i śpiewać,
żeby w struny zabrzakać.

XI

A na skraju lasu pogoda,
a w tych szparach kurzawa szczerozłota
jakby Febus pogubił koła.

Bosą stopą brnę przez mokradła.
Inna zielen wciąga. Inne światła.
Błękit jak matka woła.

XII

Kiedym przez las sosnowy szedł,
pojąłem, że w nim jest coś z męskiej
tragedii.

A kiedym w las liściasty wszedł,
to jakbym słyszał śmiech i flet,
jakbym wstąpił do pokoju kobiety.

XIII

Jeszcze tyle byłoby do pisania,
nie wystarczy tu żadne słowa:
o wiewiórkach, o bocianach,
o łąkach sfaldowanych jak suknia

balowa,
o białych motylach jak listy latające,
o zieleniach śmiesznych pod świerkami,
o tych sztukach, które robi słońce,
gdy się zacznie bawić kolorami;

i gdy człowiek wejdzie w las to nie wie,
czy ma lat pięćdziesiąt, czy dziewięć,
patrzy w las jak w śmieszny rysunek;

i przeciera ośleple oczy,
dzwonek leśny poznaje, cmentarz
i na serce kładzie mech jak opatrunek.

(Dokończenie nastąpi)

PRAWIDŁOWE ROZWIĄZANIE KONKURSU „5 ZAGADEK” z numeru 395 „PRZEKROJU”

ZAGADKA 1

Oto kolejność nazwisk naszych autorów, których zdjęcia zamieściliśmy:

1. Burzyński
2. Krzywicka
3. Zaruba
4. Grodzieńska
5. Hugo
6. Mróz
7. Poniatowski
8. Kilński
9. Uniechowski
10. Dr K.
11. Wlech
12. Lipiński
13. Zientarowa
14. Lengren
15. Kern

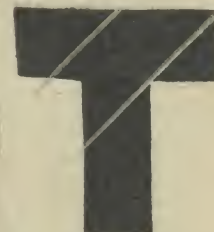
ZAGADKA 2

Takie nazwy rzek należało napisać:

1. Odra—Nysa
2. Niemen
3. Oka
4. Ganges
5. Styks
6. Elstera
7. Rubikon
8. Wołga—Don

ZAGADKA 3

Tutaj możliwych było kilka równorzędnie dobrych rozwiązań. Oto najczęściej nadsyłane.



ZAGADKA 4

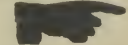
Tak wygląda prawidłowo złożone T.



ZAGADKA 5

Wiele kłopotu sprawiło Czytelnikom obliczenie ileżby nóg. Prawidłowe rozwiązanie brzmiało: 36. Niestety nie wszyscy z Was pamiętali, że Kazio (dwie nogi) to też istota. A więc żółw — 4, dwie salamandry — 8, karaluch — 6, czyżyk — 2, pajak — 8, mucha — 6 i Kazio — 2.

A oto lista osób, które prawidłowo rozwiązały:



Niektóre matki zastanawiają się nad tajemniczym miękkim miejscem na głowie dziecka. Gdy dziecko się rodzi, kości, które tworzą górną część jego czaszki, nie są jeszcze zrośnięte i pozostawiają między sobą przestrzenie, osłonięte pod skórą jeszcze i mocną membraną, stanowiącą dobre zabezpieczenie. Są to t. zw. ciemiączka, z których największym i przede wszystkim zwracającym uwagę jest ciemiączko przednie — na środku główki. Bywa ono różnych rozmiarów, u niektórych niemowląt jest dosyć duże. Z biegiem czasu rozmiary ciemiączka się zmniejszają, aż wreszcie ciemiączko zarasta, u niektórych dzieci jeszcze przed końcem pierwszego roku życia, przeciętnie jednak między 15 a 18 miesiącem.

Nie należy obawiać się dokładnego zmywania główki nad ciemiączkiem, bo przy delikatnym postępowaniu nie stanie się dziecku przy tym żadna krzywda. Obserwacja zaś zmniejszania się ciemiączka ważna jest dla matki o tyle, że brak tendencji do zmniejszania się, lub nawet powiększanie się ciemiączka wraz ze wzrostem główki występuje u dzieci z objawami krzywicy. Przeważnie też u dzieci z krzywicą ciemiączko zarasta dopiero pod koniec 2 roku życia a nawet i później.

Przejdźmy teraz do sprawy ubierania i nakrywania niemowlęcia. Matkom na ogół wydaje się, że im cieplej dziecko jest nakryte czy ubrane, tym lepiej dla jego zdrowia. Największym lekiem każdej matki jest „przeziębienie”. A tymczasem jak wspominałam już w jednej z moich poprzednich pogadek, przegrzanie jest równie groźne, a może nawet groźniejsze, znacznie bowiem częstsze. Niemowlę, które przy urodzeniu miało normalną wagę, samo utrzymuje normalną temperaturę ciała i nie powinno być ani zbyt ciepło odziane ani nakryte. W pokoju o średniej temperaturze (18—20°C) dziecku wystarczą dwie lekkie wełniane kołderki. Latem, w czasie upałów, wystarczy jedna. Pamiętajmy przy tym, że tłuszcz podskórny grzeje równie dobrze jak odzienie. Dziecko tęgie powinno być lżej odziane od dziecka szczupłego. Ciało dziecka zbyt ciepło odzianego traci zdolność przystosowywania się w sposób naturalny do zmian temperatury, traci odporność na przeziębienia i w rezultacie łatwiej się przeziębia od dziecka odzianego racjonalnie. Nie należy przejmować się tym, że rączki dziecka są chłodne, gdy jest ono odpowiednio ubrane. Najlepiej dotknąć jego łokcia lub karku. Jeżeli chodzi o niemowlę, to najlepszym sprawdzianem jest kolor policzków. Dziecko zmarznęte blednie i zwykle zaczyna płakać.

Jest rzeczą ogromnie ważną, by niemowlę pewną część dnia spędzało na świeżym powietrzu. Wiem, że jest to sprawa często trudna do przeprowadzenia. Po pierwszym miesiącu życia zdrowe dziecko powinno być od 2 do 3 godzin na powietrzu, pod warunkiem że nie pada deszcz, że nie ma mrozu większego niż —4° lub ostrego wiatru. Jeżeli pierwsze „spacery” dziecka przypadają w okresie jesieni, zimy, lub wczesnej wiosny, trzeba dziecko stopniowo przyzwyczajać do pobytu na świeżym, zimnym powietrzu. Toteż pierwszy spacer powinien trwać około 20 minut, następnie coraz dłużej, aż do 2—3 godzin.

Na wsi sprawa „spaceru” jest prosta. Wystarczy dziecko w ko-

szku, czy wózku wystawić przed dom, najlepiej w miejscu ochronionym od wiatru. W mieście, jeżeli mamy balkon lub gdy przy domu znajduje się ogródek, można zrobić to samo. Jeżeli natomiast mieszkamy w zwykłej kamienicy miejskiej i nie mamy balkonu, to sprawa oczywiście jest trudniejsza. Jeżeli matka może znaleźć czas to powinna bezwzględnie wychodzić z dzieckiem na spacer, do parku. Jeżeli absolutnie nie ma na to czasu ani nikogo w rodzinie, kto mógłby ją wyręczyć, powinna przynajmniej postawić łóżeczko dziecka za dnia pod oknem, okno szeroko otworzyć, nakryć dziecku główkę czapką, ubrać je tak jak na spacer i zostawić je tak na 2—3 godziny, póki na dworze jest widno.

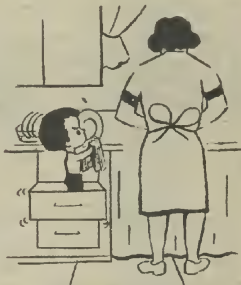
Dzieci, które mają dosyć świeżego powietrza i nie są przegrzane, są zwykle zdrowe, odporne na przeziębienia i różne dolegliwości, odznaczają się rumianymi policzkami i dobrym humorem.

Znam matki, które same niechętnie wychodzą na spacer, a szczególnie zimą i znam niemowlęta, które po kilka miesięcy w ogóle nie bywają na świeżym powietrzu. Można je poznać na pierwszy rzut oka. Są blade, nalane, łatwo się pocią, często płaczą i grymaszą.

Bardzo ważnym czynnikiem w rozwoju dziecka jest słońce. Pewna część jego promieni, promienie ultrafioletowe, padając na skórę wytwarzają bezpośrednio pod jej powierzchnią witaminę D, ową bardzo ważną witaminę, która, jak już wiemy, zapobiega krzywicy. Uczeń przypuszcza, że promienie słoneczne mają w ogóle bardzo dodatni wpływ na rozwój organizmu dziecka, choć nie zostało to jeszcze dokładnie zbadane. Można więc śmiało powiedzieć, że należy dziecko stanowczo wystawiać na słońce. Musimy tu jednak zachować dużą ostrożność. Zbyt długie przebywanie na słońcu jest szkodliwe, szczególnie w okresie letnim, gdy promienie słoneczne bardzo silnie przygrzewają.

Najlepiej nagrzewać dziecko na słońcu w porze na jedną do półtora godziny przed astronomicznym południem. Zaczynamy od nóg niemowlęcia, resztę ciała trzymając w cieniu. Dwie minuty na pierwszy raz zupełnie wystarczy. Powoli można powiększyć powierzchnię ciała wystawioną na słońce i przedłużać czas trwania kąpieli słonecznej.

Za każdym razem przedłużamy kąpiel słoneczną o dwie minuty, aż dochodzimy do pół godziny. Dłużej nie radziłabym trzymać niemowlęcia na słońcu. Główkę należy osłonić, szczególnie, gdy nie ma na niej jeszcze włosów i nigdy nie należy kłaść dziecka twarzą do słońca, gdyż jest to szkodliwe dla oczu. W czasie bardzo intensywnych upałów, należy unikać bezpośrednich promieni słonecznych, gdyż mogą one spowodować oparzenie. Wystarczy wtedy dać dziecku tak zwaną kąpiel noweltrzną, czyli po prostu rozebrać je i położyć na kocu pod cieniowym drzewem. Gdy dziecko zaczyna raczkować i samodzielnie się poruszać po płycie czy łące, należy pamiętać zawsze o tym, by miało osłoniętą główkę.



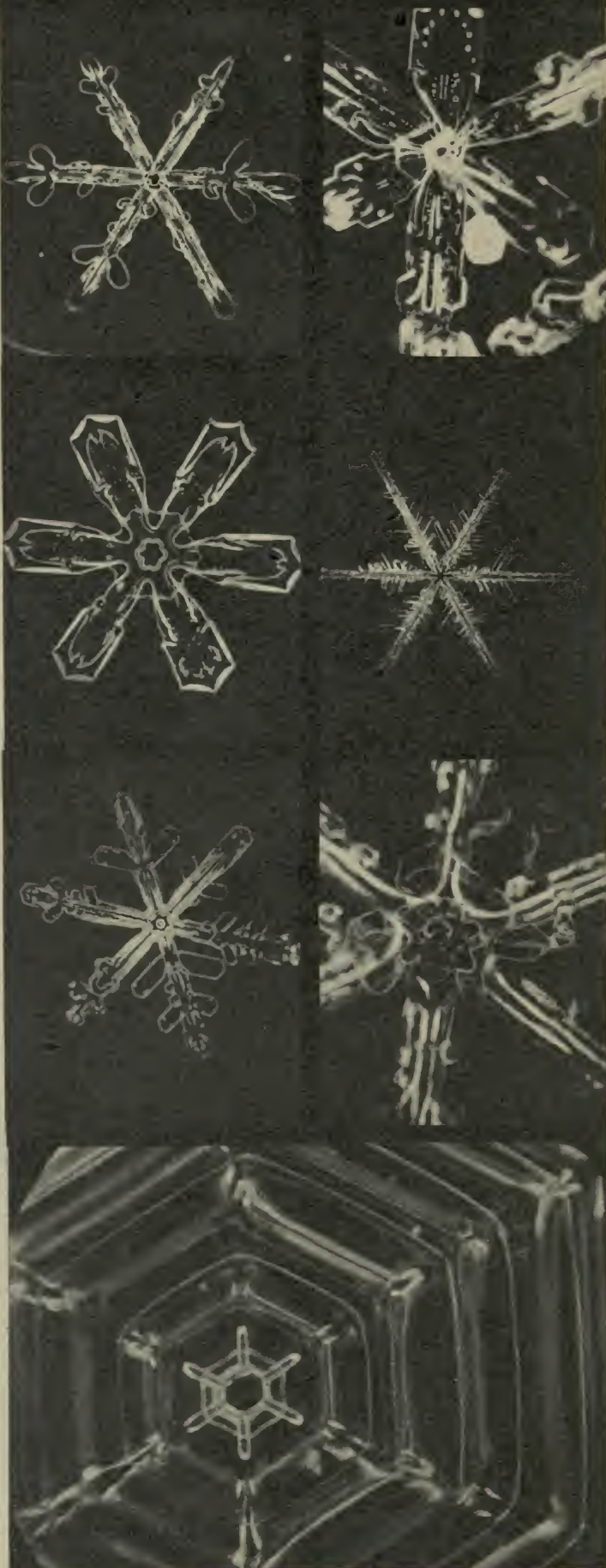
POMYSŁOWOŚĆ

W nast. numerze przeczytacie: o śnie niemowlęcia, o huśtaniu i noszeniu na rękach i o dzieciach „nerwowych”. Naszych pogadek dla młodej matki szukajcie zawsze na stronie 14!

ŁODOWA SZTUKA

Śnieg pada każdej zimy. Może dlatego właśnie, że jesteśmy tak do niego przyzwyczajeni — mało zwracamy nań uwagi. A szkoda... Gdybyśmy spojrzeli na śnieg „uzbrojonym” okiem dostrzegliśmy całe piękno lodowych kryształków, przybierających nieraz fantastyczne formy. Wpraw-

dzie płatki śniegu „obowiazuje” przy powstawaniu surowy kanon budowy regularnego sześcioboku lub gwiazdy sześcioramiennej — jednak w tych ramach istnieje niezliczona ilość wariantów. Spójrzcie zresztą sami na te kilka przykładów. Tak wygląda „sztuka lodowa” pod mikroskopem.



NASZE ZOO — ZBIERAJĄCE ZWIERZĘTA

STAŁY KONKURS

Polski Monopol Loteryjny ogłasza dla naszych Czytelników STAŁY KONKURS p. t. „Zbierajcie zwierzęta”

CO MIESIĄC NAGRODA: ROWER

W każdym numerze „Przekroju”, poczynając od numeru bieżącego, będzie ukazywał się jeden rysunek z cyklu „ZBIERAJĄCE ZWIERZĘTA”. Rysunki te będą zaopatrzone kolejnymi numerami. Konkurs polega na tym, aby przesłać do

POLSKIEGO MONOPOLU LOTERYJNEGO
WARSZAWA, UL. ŻURAWIA 44

pięć różnych, jednak kolejnych rysunków wyciętych z „Przekroju”, z cyklu „Zbierajcie zwierzęta”. Oczywiście do rysunków należy załączyć kartkę z imieniem, nazwiskiem i adresem wysyłającą. UWAGA: na kopercie należy napisać słowo KONKURS.

Wszystkie koperty, które nadejdą do ostatniego dnia danego miesiąca będą wrzucane do koła loteryjnego. Pierwszego dnia każdego miesiąca (jeśli pierwszy wypadek w niedzielę, to dnia następnego), odbywać się będzie w Warszawie przy ul. Żurawia 44 PUBLICZNE losowanie roweru.

Z kola wyciągnięta zostanie jedna koperta. Jeśli znajdzie się w niej pięć różnych kolejnych rysunków zgodnie z warunkami konkursu, będzie wysyłającemu przyznany rower. W przeciwnym

przypadku losowanie zostanie powtórzone.

Przez pięć kolejnych różnych rysunków należy rozumieć rysunki o kolejnych numerach. Ale jest rzeczą obojętną, od którego numeru wysyłający zacznie. Można więc np. nadsyłać rysunki: 1, 2, 3, 4 i 5, albo serię rysunków 2, 3, 4, 5 i 6, albo też serię rysunków 6, 7, 8, 9 i 10 itd. Każdy Czytelnik może wysłać dowolną ilość seryjek i dowolną ilość razy. Jednakże każda koperta nadesłana bierze udział w losowaniu tylko jeden raz.

NASZE ZOO — NR 1
ZBIERAJĄCE ZWIERZĘTA

NAWET
ŻÓŁW SPIESZY SIĘ,
ABY ZDAŻYĆ NA PUBLICZNE
CIĄGNIENIE LOTERYJNE

Co miesiąc rower! Kto przysła 5 kolejnych obrazków zwierząt (poczynając od dowolnego numeru), ten bierze udział w najbliższym miesięcznym losowaniu roweru. Wytnij i prześlij 5 obrazków: Polski Monopol Loteryjny, Warszawa, Żurawia 44. Na kopercie napisz słowo „KONKURS”.

Wyniki każdego losowania będą podawane w „Przekroju”. Pierwsze losowanie odbędzie się 2 lutego 53.

Dzisiejszy odcinek to nie kronika nieszczęśliwych wypadków, to spostrzeżenia i doświadczenia kierowców i... przechodniów. Jest bowiem pewnego rodzaju antagonizm między kierowcami, a przechodniami. Kierowca mówi prawie zawsze: „Przechodnie nie umieją chodzić po jezdni”. A przechodnie znów stawiają zarzuty: „Kierowcy jeżdżą jak wariaci”. Zanim spróbujemy sami ocenić kto jest winny, posłuchajmy sprawiedliwie jednych i drugich.



LUDZIE CHODZĄCY PIECHOTĄ wyrzekają:

▲ Samochody jeżdżą za szybko. Gdy chcemy przejść przez jezdnię widzimy samochód daleko, a za chwilę jest już przy nas i musimy przed nim uciekać.

▲ Nigdy nie mamy pewności, że nie zostaniemy przejechani przy wsiadaniu do tramwaju.

▲ Nie szanują one naszych nerwów i naszego zamyślenia. No to co, że czasem zjeździemy na jezdnię, zapomniawszy się oglądać na prawo i lewo? Mogą całkiem zwolnić lub nawet zatrzymać się przed nami. Nic im się nie stanie z tego powodu.

▲ Samochody, skręcające na skrzyżowaniu w prawo pchają się w nas, którzy mamy właśnie dozwolone przejście przez jezdnię.

▲ Często wyprzedzają tramwaj na przystanku, wyjeżdżając na środek ulicy i narażają na przejechanie nas, którzyśmy wysiedli

właśnie z tramwaju i przechodzimy przez jezdnię.

▲ Samochody są bez litości nie tylko dla nas, ale dla naszych płaszczy i ubrań. Gdy na jezdni są kałuże, wjeżdżają w nie z impetem, ochlapując wszystkich nokoło.

KIEROWCY ZAŚ SKARŻĄ SIĘ uporczywie:

■ Przechodnie przekraczają jezdnię poza przejściami dla pieszych, w miejscach, w których my jedy-

nie właśnie możemy jechać szybko.

● Wchodzą na jezdnię specjalnie po to, aby wpaść pod samochód, jakby im życie było niemiłe i nieprzytomnie pchają się pod samochód. Zmuszają nas do gwałtownego hamowania, które niszczy hamulce i naraża nas na najechanie z tyłu przez inny wóz.

■ Nie rozumieją, że samochód jest po to, aby przewozić ludzi czy towary SZYBKO z miejsca na miejsce i jeśli co chwila będzie się zatrzymywał przed „zamyślonymi”, traci swoją wartość jako taki.

■ Ludzie chodzący piechotą myślą, że zawsze zdążą uciec przed samochodem, nawet wtedy, kiedy wcale przed nim nie uciekają. Muszą oni zrozumieć, że ta zabawa denerwuje nas znacznie bardziej niż ich.

■ Wydawałoby się czasem, że ludzie chodzący piechotą czują się już zupełnie dobrze na chodniku, gdy nagle zeskakują zeń gwałtownie i zaczynają wędrówkę wzdłuż krawężnika lub skośnie przechodząc jezdnię.

Jeżeli po wysłuchaniu tego wszystkiego mamy odpowiedzieć na pytanie JAK UNIKAĆ WYPADKÓW, to zdajecie sobie sprawę z tego w jak trudnym znajdujemy się położeniu, aby nie narażać się jednym lub drugim. Ale spróbujemy:

● Samochody są po to, aby jeździć szybko. Przechodnie muszą to zrozumieć i nie utrudniać im tego. Kierowca jednak powinien zrozumieć, że jadąc szybko musi całkowicie panować nad swoim wozem. Gdy najedzie on na kogoś kto porusza się wolniej, w 90% będzie to ocenione jako jego wina, za wyjątkiem, jeśli przechodzień na kilka metrów przed samochodem zmieni nagle kierunek swego marszu i „zatakuję” wóz.

● Kierowca patrzy w mieście „średkiem oka” na jezdnię, „kątami” zaś na chodniki, wypatrując takich, którzy „czają się do skoku” na jezdnię. Skręcając w prawo na skrzyżowaniu powinien zachowywać się tak uprzejmie jak pieszy przepychający się przez ogonek na drugą stronę. Przechodnie bowiem mają wtedy pierwszeństwo.

● Ludzie chodzący piechotą muszą zrozumieć, że znalazłszy się na

jezdni, są w gościnie. Nie powinni też gościć tej nadużywać i powinni przechodzić przez jezdnię tylko w miejscach przebiegających dla pieszych. W innych miejscach są niepożądanymi gośćmi. Domem dla nich jest chodnik. Myślicie jak najwięcej, ale na chodniku; na jezdni obserwujcie i bądźcie uważni. **Jezdnia jest przede wszystkim dla pojazdów.**

A teraz kierowcy i przechodnie przeczytajcie jeszcze raz zarzuty stron przeciwnych i pomyślcie, że jednak nie wiele potrzeba, aby Wasze nieporozumienia zamienić w przyjazne współżycie.

A więc uwaga Kierowcy!

Prowadząc wasz wóz po mieście, pamiętajcie, aby:

1. Nie przyklejać nogi do pedału gazu. Musi ona w odpowiedniej chwili znaleźć się błyskawicznie na hamulcu.

2. Zwalniać przed zakrętami do szybkości bardzo wolno idącego przechodnia (tak!).

3. Patrzeć uważnie na jezdnię, lecz i na chodniki!

4. Nie myśleć o czym innym i nie prowadzić ożywionej rozmowy.

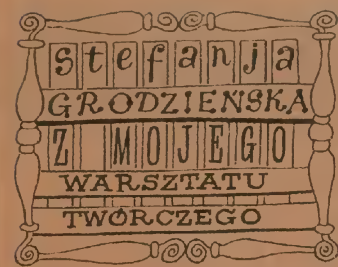
5. Nie wolno wam pod żadnym pozorem w czasie pracy ani przed nią, pić alkoholu (piwa też). Ani jednej kropli.

6. Szybkość waszego samochodu powinna być określona — nie mówiąc już o przepisach — waszą możliwością panowania nad nim.

W następnym odcinku: o wypadkach na szosie.



— Tak, jeździć samochodem nauczyłem się z „Przekroju”...



Podaję krótkie fragmenty moich prac, które niebawem ukaza się na półkach księgarskich.

OPOWIEŚĆ MORSKA

Wciągnął obersztangę¹⁾ na bajer. Blaufunda zafalowała lekko na wasermordzie²⁾. Spojrzał niespokojnie na niebo: od północy ciągnęły groźne, postrzępione kalabracki. Z trudem zacupował unterklopsy³⁾ do wypselkufy, ale mimo to barietrapsa przechylała się niebezpiecznie.

Kołyśzającym się krokiem podszedł cyper.

— Trzeba przymajdać⁴⁾ greps do lufklempy⁵⁾ — rzekł stanowczo.

¹⁾ Obersztanga — bryklapa z ruchobachrakiem.

²⁾ Wasermorda — duża obersztanga.

³⁾ Unterklopsy — klopsy, które się zacupowuje do wypselkufy.

⁴⁾ Przymajdać — popularne wyrażenie marynarskie.

⁵⁾ Lufklempa — rodzaj klempluty.

OPOWIEŚĆ NARCIARSKA

Przypiął narty. Były to nowoczesne pinczery z ulepszo-

nymi hapsami. Odepchnął się i zaczął zjeżdżać piękną roladą. Nabrał pędu, przeskoczył przez nie-
dużą grupę, opanowanym¹⁾ purgenem okrążył oblodzoną gołdę i klasycznym klipsem ześliznął się w stronę lasu, zataczając lekko regularne pipsztaki.

¹⁾ Opanowany — wyćwiczony.

OPOWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

Posiedzeńcy ukrzesłowali się. Zebranił zagajenie:

— Obywatele, jeśli podaniownosiec racjonuje, to nie wolno go biurokraczyć. Każdego zaurzędowanego u nas instytucjonalnie brakobumelantoroba będziemy zmuszeni odatatować! Szybkie załatwiactwo petentujących, to środek uwarunkowujący poprawozaistnienie rzeczostanu. Następni problemostawiaci odreferowują tu inne nasze potrzeboblaczki chwilobiejące, przyczem zapotrzebujemy streszczactwa, czym samym zamożliwujemy przystąpienie do skrócieństwa niniejszego posiedzebrania.

Stefania Grodzińska

Podchodziliśmy kolejno do telefonu:

- Panie doktorze, mam katar.
- Panie doktorze, zaczynam silnie kaszleć.
- Panie doktorze, odczuwam bóle mięśni.
- Panie doktorze, boli mnie dół brzucha.

— A najzabawniejsze, że wszystkim nam wydaje się, że te nasze dolegliwości powstały wskutek przeziębienia...

— Samo przeziębienie chorobą nie jest — rozległ się w słuchawce głos doktora K. — jest natomiast czynnikiem usposabiającym do powstawania różnego typu schorzeń, m. in. tych, które panowie podaliście. Proszę posłuchać:

Człowiek jest przystosowany do znoszenia zmian temperatury w dość szerokich granicach, bo około 100° C. Są ludzie żyjący przez większą część roku w temperaturze zbliżonej do minus 50°, inni znowu przebywają codziennie i pracują w temperaturze dochodzącej do plus 50°. Przystosowanie do zmienionej temperatury czyli aklimatyzacja wymaga oczywiście pewnego czasu.

Od naszej zdolności szybkiego reagowania na zmiany temperatury otoczenia zależy nasza wrażliwość na przeziębienia. Zimno, działając na kończyny lub odsłonięte czy niedostatecznie osłonięte części ciała, wywołuje pewien uraz termiczny. Następstwem tego urazu są zmiany w rozmieszczeniu krwi w ustroju, co pociąga za sobą spadek odporności w szeregu miejsc. Ten chwilowy nawet spadek odporności wystarcza już do wywołania schorzenia zakaźnego w miejscach, gdzie stale spotykamy spore ilości bakterii (np. błona śluzowa jamy nosowej, błona śluzowa oskrzeli, migdałki).

— To znaczy, że wszyscy bez wyjątku skazani jesteśmy na przeziębienie się...

— Nie! U ludzi przystosowanych do szybkiego reagowania na zmiany temperatury otoczenia drogą odpowiednich odruchów, niemal momentalnie następuje wyrównanie krążenia, zaburzoność chwilowo przez ochłodzenie, i nie powstają okoliczności korzystne dla bakterii. Np. leśnicy lub pracownicy przebywający przez dłuższy czas w lesie lub na polu, narażeni nierzadko na bardzo silne działanie wpływów atmosferycznych, przeziębiali się rzadko.

— Niestety, nikt z nas nie jest leśnikiem...

— Toteż panowie, jako ludzie pracujący w równomiernej temperaturze pokojowej, jesteście narażeni znacznie bardziej na możliwość przeziębienia. Musicie więc dbać o to, by skóra wasza momentalnie reagowała na zmiany temperatury otoczenia. Osiągamy to przez szereg zabiegów zwanych hartowaniem. Pomijając sposoby hartowania wymagające lekarskiego dozoru, najprościej możemy się zahartować przebywając codziennie przez dłuższy czas na powietrzu bez względu na pogodę. Znakomitym sposobem hartowania się jest regularne codzienne chodzenie na dłuższy spacer.

— Jak tylko nam się polepszy, obiecujemy to robić.

— Hartują nas również kąpiele powietrzne. Po prostu spacerujemy przez parę minut rano i wieczorem w negliżu po pokoju a następnie szybko nacieramy całe ciało frotowym ręcznikiem, aż do zaróżowienia skóry. Przede wszystkim jednak musimy starannie leczyć chroniczne stany zapalne błony śluzowej nosa, tchawicy, oskrzeli, by nie dopuszczać do rozwoju na tych błonach większej ilości chorobotwórczych bakterii. Musimy również sami zapobiegać roznoszeniu bakterii chorobotwórczych, a więc w wypadku np. kichania...

— Wiemy, wiemy! Trzeba zasłonić nos chusteczką.

— Tak jest. Chusteczkę zmieniamy często.

— Całujemy panu doktorowi rączki...

— O, właśnie, cmok-nonsens jest również źródłem zakażeń!

— Niech pan doktor na nas nie krzyczy, to było powiedziane symbolicznie. A teraz poprosimy o parę recept na schorzenia wywołane przeziębieniem...

— Ciepłe łóżko. Poty. Jeśli bolą mięśnie — suchy gorący okład. Robimy go z czystego płasku ogrzanego na patelni i wsypanego do woreczka. Może być poduszka elektryczna. Przy silnym wydzieleniu z nosa i z oskrzeli, zmniejszyć ilość pitych płynów. Pomagają również bańki. Stawiamy ich od 20 — 30 głównie na plecach i bokach klatki piersiowej. Wskazane jest również picie herbatki z rumianku lub bzu. Zażyj aspirynę. Alkoholu tak chętnie przez niektórych stosowanego, absolutnie nie zalecam.

— Dziękujemy panu doktorowi i życzymy przyjemnych Świąt.
Bracia Rojek



„SZCZEGÓLNE” upodobanie WIKTORA HUGO

Szanowny Panie Redaktorze!

Niedawno wpadła mi w ręce osławiona książka księdza Pirożyńskiego „Co czytać”. Dla tych, którym nazwisko to nie mówi parę słów wyjaśnienia. Otóż ks. Pirożyński, redemptorysta, wydał 20 lat temu „dzieło” zawierające jego (zaaprobowane przez cenzurę duchowną) opinie o „szkodliwych” i „budujących” książkach i autorach całego świata

i wszystkich epok. Tadeusz Boy-Zełenski przedrukował wówczas w świetnych swych felietonach szereg tych opinii, będących dokumentem nieprawdopodobnego wstecznicstwa, obskurantyzmu i faryzeuszostwa. W ten sposób sprawa ta stała się głośna.

W związku z zakończeniem przez „Przekrój” druku „Nędzników”, pozwałam sobie podać opinię ks. Pirożyńskiego o Wiktorze Hugo (nie przedrukowaną przez Boy’a).

„Hugo ma szczególne upodobanie do osobników znajdujących się na najniższym szczeblu drabiny społecznej. Lubli ich wyposażać w piękne uczucia i idealizować wbrew rzeczywistości. Takim jest Jean Valjean, bohater powieści „Nędznicy” napisanej w duchu socjalistycznym (po-

stępiona dekretem Sancti Officii dnia 20. VI. 1864)“.

Jak wiadomo z Ewangelii z tym samym zarzutem „szczególnego upodobania” do osobników znajdujących się na najniższym szczeblu drabiny społecznej, spotykali się pierwsi chrześcijanie.

Opinia ks. Pirożyńskiego o Wiktorze Hugo opiera się na autorytecie księży katolickich, „indeksu” ksiąg zakazanych, na którym prócz „Nędzników” znajduje się również „Dzwonnik z Notre Dame”. Jest rzeczą mało znaną, że na tym indeksie dzieł, których pod karą kościelnymi nie wolno czytać katolikom znajdują się m. in. wszystkie książki Balzaca, Anatola France’a, Helene Stendhala, Zola, Flauberta. W ten sposób obskurantyzm watykańskich wsteczniczków pragnąłby pozbawić kulturę światową dorobku najwybitniejszych twórców. Jest rzeczą charakterystyczną, że jedynie dziś państwo, w którym zakaz rozpowszechniania dzieł znajdujących się na indeksie jest przestrzegany, to faszyzowski Hiszpania.

J. Kalk., W-wa

1 NARTY przyszły z GEOGRAFII...

Do Redakcji „Przekroju”!
W związku z t. zw. „pełnią sezonu” warto zastanowić się, skąd właściwie pochodzi wyraz „narty”.

Gdy pojawiły się one u nas pod koniec XIX wieku jako modny sport zwano je skandynawską „skii” (nazwa ta utrzymała się zresztą we wszystkich językach zachodnio - europejskich). Górale nazywali je zaś lyżwicami. Potem dopiero znany sportowiec krakowski Jan Fischer przywrócił im starą słowiańską nazwę „narty”.

W gwarze podhalańskiej „nart” to podbiecie czyli górna część stopy. W żywieckim i cieszyńskim nazywają tak przyszwę przedniej części cholewy.

Michał Dudziński w wydanym w 1776 roku „Zbiorze rzeczy potrzebniejszych do wydoskonalenia języka” pisał, że narty są to „kośle, tyż do ślizgania się po lodzie”. Kośle oznaczało przedmiot zakrzywiony (porównaj: kosa, koślawy). A Linde w swym Słowniku Języka Polskiego pisze: „kośle, nierzadko na nogi do ślizgania się i bieganina po lodzie”. A więc i Dudziński i Linde nie mieli tu na myśli właściwych nart do ńiegu, ale tyżwy do lodu.

Słowo nart lub narty spotykamy często jako nazwę osiedla, pastwiska, wsi itd. Okazuje się także, że najczęstszym tego rodzaju nazwa

miejsowości pochodzi od podłużnego kształtu. Według Długosza np., we wsi Piaski Wielkie, niedługo Krakowem a Wieliczką istniał las zwany Nart. Pozostałości tego lasu ciągną się długim wąskim pasmem ze wschodu ku zachodowi. W powiecie kolbuszowskim istnieje Nowy i Stary Nart, we wrocławskim Duży i Mały Narty. Na Śląsku w powiecie Góra, miejscowość Narty wymieniano już w 1310 r. Wraz z polskim osadnictwem Narty pojawiły się w kilku powiatach litewskich.

W swej pracy filologicznej z r. 1929 znawczyni sanskrytu, prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego Helena Willman-Grabowska podaje, że w języku staroindyjskim (który był podstawą języków europejskich) słowo „narta” oznacza taniec, a „nartaka” tańcerza lub aktora. Tańce staroindyjskie to posuwanie się w przód, jak przy mazurce czy polonezie.

Wynika stąd, że narty określają coś podłużnego równocześnie zaś coś poruszającego się ku przodowi. Cechy zgadzają się, więc chyba z tych właśnie źródeł powstało określenie ulubionego zimowego sportu.

Dr T. K., Kraków



Skrzynka odpowiedzi

DLA WSZYSTKICH NASZYCH czytelników i przyjaciół mamy dziś kilka ważnych informacji:

1. Zwracamy Waszą uwagę na nasz KONKURS ŚWIĄTECZNY i na piękne NAGRODY.

Prosimy Was o wzięcie w nim udziału. Może kilka obrazków jest trochę trudniejszych, ale nie ma za to w konkursie żadnych „podchwyttek”. Przeczytajcie tylko dobrze warunki!

2. Interesującą nowością dla Was będzie STAŁY KONKURS Polskiego Monopoli Loteryjnego na łamach „Przekroju”. Tutaj szczególnie uważnie przeczytajcie warunki konkursu. Dają one możliwość wysyłania różnych kombinacji obrazków. Co miesiąc będzie do wygrania ROWER. Na liściach do PML-u (Warszawa, ul. Żurawia 44) nie zapominać dopisywać słowa „Konkurs”.

3. W drugiej połowie stycznia lub z początkiem lutego rozpoczynamy druk opowieści Marii Jarochońskiej „Trudne serce”. Czytaliście w „Przekroju” też autorki „Buraczane liście”. Sądzimy więc, że wszelka reklama jest zbędna. Możemy Wam jednak zdradzić, że „Serce” czyta się jednym tchem. Szczegóły podamy Wam wkrótce.



2. NAKOMITY reżyser włoski Giuseppe de Santis powiedział mi dwa lata temu, że przygotowuje film o solidarności biedoty wiejskiej w walce z kulakami-wyzyskiwaczem. Obecnie film ten wchodzi na nasze ekrany. Jego tytuł: „Nie ma pokój pod oliwkami”. A oto zarys fabuły: Pasterz Domenico zostaje beczelnie okradziony przez kulaka. Gdy próbuje dochodzić swej własności, sterorzyzowani przez wiejskiego bogacza świadkowie wypowiadają się na jego niekorzyść. Kulak dzięki temu zagarnia wszystkie pastwiska i podnosi czynsz dla dzierżawcom. Wówczas dopiero pasterz rozpoznaje w nim swego wroga i na rewizji procesu postana-

wiają solidarnie zeznawać na korzyść Domenico.

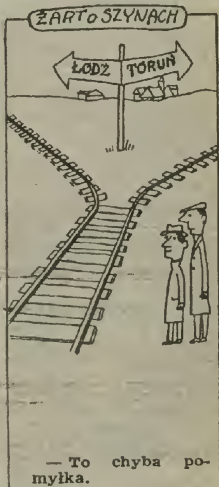
Film odznacza się doskonałą grą Ralfa Vallone, Marii Gracii Francini i Lucilli Bose (na zdjęciu). Ujemną jego stroną jest nieznośna poza fotograficzna, prowadząca do nieuzasadnionych lamańców w ustawianiu aktorów.

Buk.

OWCZARKI ALZACKIE

z rodowodami po słynnych importach sprzedawca hodowla „DOLINA KSIĘŻYCA” Pyskowie Śląskie

A-657



— To chyba pomyłka.

TEATR

Zdjęcia z wrocławskiego spektaklu „Profesji pani Warren“ Sława. Po prawej: Irena Eichlerówna (pani Warren). U dołu: Halina Dzieduszycka (Wiwie) i Tadeusz Kallnowski (Praed). — Fot. E. Hartwig i Z. Mozer



Cały Wrocław jest pod wrażeniem doskonałej gry Ireny Eichlerówny, występującej w Teatrze Polskim w swej znakomitej kreacji — pani Warren. Obok Eichlerówny wyróżniają się: Halina Dzieduszycka i Renata Fijałkowska (dwie bardzo dobre Wiwie). Reżyseria Horzycy jest przeniesieniem na scenę wrocławską jego inscenizacji warszawskiej

DEMOKRATYCZNY
SAVOIR VIVRE
W ODCINKACH
opracował: Jan Klampczyński

ZENON M. w W-wie. „Po której stronie towarzyszącej nam niewiasty siadamy w kinie lub w teatrze?” — Wchodząc do krzesła, kobieta zwykle idzie przodem i zajmuje dalsze z dwóch miejsc, a mężczyzna siada na bliższym. Czasem wypadła to po lewej ręce kobiety, a czasem po prawej, co nie ma większego znaczenia. Natomiast jeśli jedno z miejsc jest czymś upośledzone w stosunku do drugiego (przy samej ścianie, za kolumną, za wyjątkowo dużym i tegim widzem), grzeczność nakazuje mężczyźnie iść do gorszego miejsca, lepsze pozostawiając kobiecie. „Czy mężczyźni rudego (lub prawie rudego) można nazwać przystojnymi?” — Oczywiście! A w każdym razie maść ta, stosunkowo rzadka, nadaje korzystne piętno oryginalności.

BASIA w Ostrowcu. „Czy będąc na zabawie z młodzieńcem, który w ogóle nie tańczy, trzeba dotrzymywać mu towarzysztwa, czy też wypada tańczyć z innymi?” — Pół na pół. Jeden taniec „z innymi”, jedna rozmowa z nie tańczącym partnerem, a zmiana. A swoją drogą, warto by go nauczyć chociaż tańców łatwych a powolnych.

H. F. w Kostuchnie. „Istnieje pogląd, że będąc dobrym mężem, nie można być równocześnie dobrym synem. Czy to słuszne?” — Wyznajemy pogląd przeciwny. Człowiek pełen żywych afektów rodzinnych i sumienia w rodzinnych obowiązkach, będzie zarówno dobrym synem, jak i dobrym mężem. A człowiek, który nie wyróbił w sobie tych ważnych zalet, z obu ról nieszczęśliwie się wywiąże.

W. K. w Poznaniu. — Jest wprawdzie niemądry przesąd, iż ofiarowanie chustki do nosa wróży zerwanie przyjaźni (że niby chustka, to lzy), ale przesadami nie należy się kierować.

NINA w W-wie. Zyczenia świąteczne wypada przestać pisać nawet jeśli poza tym nie utrzymujemy się z tą osobą korespondencji.

ANIA w Kaliszu. „Nieustannie się kłócimy, mąż twierdzi, że z mojej winy. Czy można wnosić, sądząc z mego pisma, że mam zły charakter?” — Nie zajmujemy się grafologią. Wnosić możemy tylko z treści listu. Zdanie: „rozumiałabym, że jest taki, gdyby choć więcej zarabiał” istotnie niezbyt pochlebnie świadczy o charakterze autorki. Radzimy, dla rozwiązania konfliktów, porzucić ten ściśle finansowy punkt widzenia.

RYSZARD w Wrocławiu. — Zasada nie pozwala nam zezwolić na cmok-nonsens nawet między narzeczonymi. Najwyżej możemy w tym wypadku przymknąć oczy.

Migawki z Konkursu

100 strun w POZNANIU

5 GRUDNIA, punktualnie o godz. 10.30 na estradzie w auli Uniwersytetu Poznańskiego stanęła 25-letnia zgrabna szatynka. Była nią Węgierka Marta Hildy, która jako nr 1 rozpoczęła audycje II Konkursu Skrzypcowego im. Henryka Wieniawskiego. Grała bardzo pięknie, chociaż trochę nerwowo. Nic dziwnego — pierwsza...

Najmłodszą uczestniczką Konkursu była 20-letnia Francuzka Blanche Tarius. Dyplom Konserwatorium Paryskiego uzyskała mając lat 13. We wrześniu tego roku Blanche Tarius zdobyła pierwsze miejsce na Międzynarodowym Konkursie w Genewie.

Pierwszy Konkurs im. Wieniawskiego odbył się w Warszawie w 1935 r., a więc przed 17 laty. Wystarczyło to, aby ówczesny laureat II nagrody — znany dziś na całym świecie skrzypek radziecki Dawid Ojstrach — przysłał na obecny konkurs swego... syna. Igor Dawidowicz Ojstrach ma lat 21 i studiuje jako stypendysta stalinowski w konserwatorium moskiewskim, w klasie swego ojca.

Wielkie zainteresowanie publiczności wzbudziła gra H. Kanga Homi, 30-letniego skrzypka z Indii. Kanga Homi kształcił się w Londynie i Paryżu. Dawał

liczne koncerty w Bombaju, uwzględniając od dawna w swym programie kompozycje Wieniawskiego.

Poznaliśmy w Poznaniu męża Belli Dawidowicz. Jest nim 27-letni solista moskiewskiej Filharmonii Julian Sitkowiński. Bella wyszła za mąż wkrótce po konkursie chopinowskim w Warszawie w 1948 r., na którym zdobyła wraz z Czerny Stefańską, pierwsze miejsce. Mąż jest tak dobrym skrzypkiem jak ona pianistką...

Jeśli chodzi o instrumenty, to niestety ekipa polska nie mogła się równać ze skrzypkami zagranicznymi. Wanda Wilkomirska grała na bezmetrykowym instrumencie francuskim, niedawnej produkcji. Statkiewicz — na nienadzwyczajnych skrzypkach produkcji po Amati. Skrzypkowie radziecy grali natomiast na wspólnych instrumentach z kolekcji państwowej ZSRR.

Zagraniczni muzycy z zainteresowaniem chodzili na operę Tadeusza Szeligowskiego „Bunt żaków”. Szeligowski był bowiem przewodniczącym jury konkursowego.

Laureaci trzech pier-



1. Homi Kanga (Indie). 2. Prof. Szeligowski (przewodniczący jury Konkursu). 3. Raina Manolowa (Bulgaria). 4. Antoni Moravec (CSR). 5. Kalman Banyak (Węgry). 6. Wanda Wilkomirska (Polska). 7. Igor Ojstrach (ZSRR) w karykaturze J. Zebrowskiego.

wszystych miejsc otrzymali dyplomy wykonane artystycznie na pergaminie, w skórzanej oprawie. Wszyscy uczestnicy Konkursu otrzymali dyplomy pamiątkowe.

Dlaczego sto strun? Prosty rachunek. Skrzypce są instrumentem 4-strunowym. W Poznaniu grało ogółem 23 uczestników — a więc na 92 strunach. Pozostałe 8 — uszyliśmy na uroczystym koncercie pomiędzy dwoma etapami Konkursu. Wystąpili członkowie jury: Eugenia Umińska i Ede Zathureczky, grając podwójny koncert Bacha.



Z okazji Konkursu wydano dwa znaczki z podobizną Wieniawskiego, wykonane rotograficznie, 30-15 gr zielony i 45-15 gr fioletowy. S. M.

KRÓTKO:

W warszawskiej „Zachęcie” otwarto III Ogólnopolską Wystawę Plastyki. Z ogólnej liczby 2730 nadesłanych prac zakwalifikowano do wystawienia 639 prac 412 autorów.

Nagrody: Honorowa — Tadeusz Breyer (pośmiertnie), za rzeźbę „Autoportret”. Ponadto I nagrody: Juliusz Studnicki za obraz „Gogol”, Horno — Popławski za rzeźbę „Matka Belojannisa”, W. Borowczyk za karykatury polityczne.

O wystawie tej napiszemy wkrótce obszerniej.



— To chyba pomylka.

-BABCIA TAKŻE KUPIŁA SO-BIE LOS NA LOTERIE W KOLEKTURZE „OR-BISU”

TYLKO dla PALĄCYCH

Jean Nicot, ambasador króla francuskiego Franciszka II, na dworze portugalskim nie spodziewał się, że hołdowane przez niego w Lizbonie roślinie (którą nasiona sprowadzono z Florydy), przysporzy mu tak wielkiej sławy. Wystane królowej matce, Katarzynie Medycejskiej, ziele, mające leczyć jej uporczywe migreny, nazwali ówczesni botanicy „l'herbe de nicot”, albo „Nicotiana tabacum”.

Rany, owróżdzenie, astma, „robaki”, puchlina, kaszel, migrena, epilepsja — oto choroby, które miała leczyć „nicotiana tabacum”. Nim rozpowszechniło się jej palenie, służyła ona rzekomym celom leczniczym. Katarzyna Me-

dycejska była chyba pierwszą z kobiet, które zażywały tabaki.

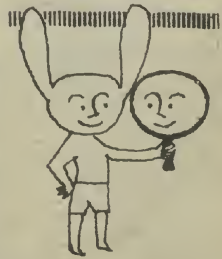
Nazwa „tabak” importowana była wraz z rośliną z Ameryki. Już w czasie pierwszej wyprawy Kolumb i jego towarzysze zauważyli, że tubylecy na Antylach palili liście jakiejś odurzającej rośliny, owinięte w liście kukurydzy. Pierwszą wzmiankę o tytoniu umieścił w swym dziele uczestnik drugiej wyprawy Kolumba Romano Pano (1497 r.), a krwawy Korteiz był pierwszym, który przywiozł tytoń do Europy.

Do Polski tytoń zawędrował okrężną drogą przez Błiski Wschód. Przywiózł go podobno z Konstantynopola, poseł Zygmunta III, Uchański.

w 1530 r. Stąd też polska nazwa nicotiany, pochodzi od słowa tureckiego „tütün”.

Tryumfalny pochód rośliny przez Europę nie odbywał się bez przeszkód. Nicotiana miała swych wrogów. Kardynał Richelieu groził palaczom więzieniem. Sultan Murad w 1633 r. wydał rozkaz wieszania, a szach perski Abbas I, wbijając na pal palaczy tytoniu. Na tych, którzy palili fajki w kościołach papież Urban VIII rzucił klątwę. Jednak już od czasów Ludwika XIV zakazy te zaczęły cofać.

Nicotiana ma zwolenników nie tylko wśród ludzi. Drukowce (larwy chrząszczy sprzążkowców, z apetytem wyjadają soczysty rdzeń rośliny, niszcząc jej uprawy. Pełdraki chrabąszczy, gąsienice rolnicy zbożowych, kurki podjadki, ślimaki, a nawet żółtobielone pasikoniki lubią pożywiać się lodygami, liśćmi czy korzeniami tytoniu, sprawiając wiele kłopotu plantatorom. Zebrała J. K.





U góry sukienka wieczorowa z dość sztywnego materiału, stanik obcisły, rękawki tworzące „skrzydełka” wokół dekoltu, spódniczka marszczona, sięgająca nieco poniżej kostek. Idealna sukienka do tańca!



Suknia balowa biała z miętko układającego się materiału. Stanik obcisły, spódnica rozszerzająca się od pasa i dołem silnie kloszowa (wymaga odpowiedniej hałki!). Suknia ozdobiona girlandami, utworzonymi z wypukłego haftu i naszytych paciorków. Króciutkie bolerko z gładkiego aksamitu



Bardzo modne i wdzięczne są modele wieczorowe składające się z czarnej długiej spódnicy i jasnej, dekolowanej bluzki z lekkiego materiału. Na fotografii bluzka z szeroką ozdobną krezą



Najmodniejszy w tym sezonie typ dekoltu wieczorowego: sukienka trzyma się na dość szerokich ramiączkach, które łączą się ze stanikiem lekko zaokrągloną linią, tworząc łokieć wycięcie jak na ilustracji po prawej



DZIŚ LUCYNKA I PAULINKA W WESOŁEJ HISTORYJCE p. t. DOBRY SPOSÓB

— Pragnę — mówiła Lucynka do Paulinki — abyś jak co roku znalazła pod choinką jakiś drobny upominek ode mnie. Niestety pomysłowość moja jest na wyczerpaniu. Objawu tego doświadcza zapewne też i niejedna Czytelniczka „Przekroju”, obdarzona przez los koleżankami, warto więc byćmy na łamach tego tygodnika porozmawiały o wyborze prezentów...

— Zdaje się, że to już było — powiedziała Paulinka.

— Problem istotnie nie jest nowy — przyznała Lucynka — ale przyszedł mi na myśl nowy sposób jego rozwiązania.

Ponieważ gusty nasze nieco się różnią i trudno mi było wyobrazić sobie, co sprawi ci najwięcej przyjemności, przyjąłem metodę następującą. Idąc po południu ulicą, na której jest pełno sklepów, upatrzyłam wśród przechodniów panią o typie zbliżonym do

twojego i pilnie śledziłam, co na wystawach zwraca jej uwagę. Na witrę z szalikami i pończochami nawet nie spojrzęła, więc zdecydowałam, że szaliki i pończochy odpadają. Przed wystawą perfumierii zatrzymała się, ale zaraz poszła dalej. Bieliznę, przybory do szycia, artykuły papiernicze — wszystko to mijają obojętnie. Dopiero przy cuklarni przystanęła na dłuższą chwilę, więc pomyślałam już „oho”, ale jak się okazało, poprawiała tylko przed szyją kapelusik. Za to następną wystawę: wyroby skórzanego, oglądała długo i z wyraźnym namysłem. Jednak i od tej odeszła. Nagle, o kilka kroków dalej, zobaczyła na wystawie coś, co najwidoczniej wzbudziło w niej gwałtowne zainteresowanie, bo z rozpromienionym obliczem wpadła do sklepu, by tę rzecz zakupić. Natychmiast postanowiłam to samo kupić dla ciebie. No i zgadnij, co kupiła?

— Nie mam pojęcia — rzekła Paulinka.

— Fajkę. I dwie paczki fajkowego tytoniu. Muześz sobie przedstawić moją konsternację...

— Bo też obrataś zły system, Lucynko — powiedziała Paulinka. — Nie trzeba wyszuki-

nych sposobów, by odkryć „idealny” prezent. Tym idealnym prezentem słownym dla każdego: miłym a niedrogim, jest książka. Szkoda, że idąc za tą panią, nie natrafiłaś na wystawę księgarń.

— Owszem, była księgarń — powiedziała Lucynka. — Ale skąd można wiedzieć czy dana osoba jakiejś książki już nie posiada?

— To bardzo łatwe! Zanim kupisz prezent, prosisz daną

Bedę go używać, bo lubię dawać książki na prezent i sama lubię dostawać książkowe prezenty. Ale lubię też inne prezenty. Takie, w które można się ubrać. Czy nie mogłabyś mi doradzić również czegoś z tej dziedziny?

— Owszem — rzekła Paulinka. — Doradzę ci rzecz bardzo przydatną w okresie karnawału, dla uzupełnienia sukienek wieczorowych, których modele podaje dzisiejszy nu-

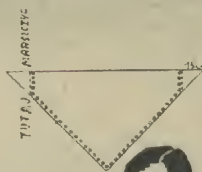
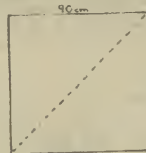
ku 90 cm, składasz wzdłuż przekątną. Otrzymujesz trójkąt, którego dwa rogi odcinasz w odległości 15 cm od szpiców (patrz rysunek). Zszywasz z sobą brzegi trójkąta, pozostawiając otwór, przez który wywrócisz całość na prawą stronę. Po wywróceniu, zszywasz otwór niewidocznym ścięciem. Teraz marszczysz oba krótkie boki powstałego w ten sposób pięciokąta i przyszywasz w miejscach zmarszczeń wstążki, ok. 5 cm szerokie a 60 cm długie. Brzegi okrywki ozdabiasz paciorkami (3 rzędy paciorków, w odległości co 1 cm jeden paciorek od drugiego) lub też frendzlą, do wyboru. Prawda, że śliczny prezent dla koleżanki?

— Prawda — powiedziała Lucynka. — Ale co mam zrobić z fajką, którą w myśl postanowienia jednak za przezwodem owej panią kupiłam?

— Czy naprawdę nie znajdziesz nikogo, komu mogłabyś ofiarować ją na gwiazdkę? — spytała, uśmiechając się, Paulinka.

— Owszem! — powiedziała Lucynka. — Tylko jak się dowiedzieć, czy on już tego nie posiada?... Już wiem! — wykrzyknęła z triumfem. — Spytań go, twoim systemem, czy nie mógłby mi fajki na kilka dni pożyczyć!

KONIEC



osobę o pożyczenie na kilka dni tej właśnie książki. Jeśli ci odpowie „nie mam”, kupujesz. Jeśli pożyty, wymieniasz następny tytuł...

— Rzeczywiście, dobry sposób — powiedziała Lucynka. —

mer „Przekroju”. Okrywkę balową, na którą zużyjesz resztkę jedwabiu, wymiarów 90x90 cm i którą zrobisz w 2-3 godziny. Oto sposób wykonania:

Kwadrat materiału, o bo-

Nie lekceważyć nerw!

Parę dni temu byłem w mieścieczku M. pod Warszawą na przedstawieniu miejscowego zespołu świetlicowego w wspaniałym gmachu Domu Kultury. Grano piękną sztukę Maliszewskiego „Droga do Czarnolasu”. Grano jakby powiedział pan Piecyk „w deche”. Role umiane świetnie. Piękne kostiumy, wypożyczone z Warszawy dekoracje wcale, wcale, wśród wykonawców przebliski prawdziwych talentów. Jednym słowem przyjemny wieczór.

*

Jakże inaczej wyglądał tu teatr amatorski przed wojną.

Oto dla uczczenia 250-ej rocznicy wyprawy wiedeńskiej wystawiono dramat historyczny w 9-ciu obrazach z prologiem i epilogiem, pióra komendanta miejscowej straży ogniowej pana Floriana Gibasiewicza, który też sztukę wyreżyserował i objął rolę głównego Turka, czyli wielkiego wezyra Kara Mustafy.

Postać cesarza austriackiego Leopolda wcielił pan Sylwester Gumka, zastępca kierownika poczty, a to dlatego, że służył kiedyś w austriackim wojsku. Z obsadzeniem reszty ról nie było specjalnego kłopotu, tylko nikt nie chciał grać naczelnego eunucha ze względów zrozumiałych. Po namyśle autor rolę tę w ogóle skreślił.

Nadszedł dzień przedstawienia. Publiczności przybyło bardzo dużo, ale już od początku coś się zaczęło nie sztykować. Światło zgasto, kurtyna zahaczała się trzy razy, zanim poszła w górę... Podczas przyjęcia posłów wiedeńskich zawalił się namiot Wielkiego Wezyra, i przyniósł nogę jednemu z wodzów bismarckich, który krzyknął rozdzierająco:

— A żeby cię nagle krew załała, w sam świąteczny odskis dostalem! Ale wszystkie te drobne niepowodzenia zbłądły zupełnie wobec prawdziwego nieszczęścia, jakim skończył się akt piąty.

Żeby zbytnio nie obciążać budżetu widowiska, reżyser urządził, że cesarz Leopold i dowódca obrońców hr. Staremberg posługiwali się jednym kostiumem.

W teorii było to niesłychanie łatwe do urzeczywistnienia, gdyż cesarz ukazywał się na scenie dopiero wtedy, gdy hrabia z niej schodził i miał dość czasu by oddać swe szaty monarsze. Ponieważ jednak hrabia oddał się w prawą kulisę, a cesarz wychodził z lewej, za sceną zaś było przejście, ustalono, że kostium przerzuci górą, nad dekoracjami, miejscowy as lekkoatletyczny p. Korytko.

Ale co innego teoria, co innego praktyka.

Król Sobieski dawno oczekiwał na czele swych rycerzy ukazania się cesarza Leopolda. Hrabia Staremberg dawno wyszedł, a cesarz nie wchodził. Na scenie zapanowało denerwujące milczenie, wreszcie jeden z dworzan podszedł do kulisy i szepnął:

— Gdzie jest cesarz? Panie Gumka, dlaczego pan nie wchodzi?

— Ta jakże wliże bez portek?!

— A gdzie one są?

— Patrz pan, wiszą na ratuszu.

Istotnie z wieży starożytnego wiedeńskiego ratusza powiewały melancholijnie cesarskie spodnie.

Okazało się, że p. Korytko był tego dnia nie w formie, źle obliczył rzut i spodnie zawisły na dekoracji.

Ale pauzy nie podobna było przedłużać. Zdenerwowany inspicjent, nie bacząc na konsekwencje, wypchnął pana Gumkę na scenę.

Ukazanie się cesarza Leopolda w stosowanym kapeluszu, jegerowskiej koszulce i ciepłych kałosenach wywołało niebywały efekt.

Sala zahuczała śmiechem, który jednak szybko ustąpił miejsca głośnomu protestowi.

Nieszczęśliwe matki zastaniały o czy swym nieletnim córeczkom, wołając:

— To świństwo, opuścić kurtynę! Ubrać go, ubrać!

Komendant policji przerwał przedstawienie i polecił aresztować cesarza Leopolda oraz Wielkiego Wezyra pod zarzutem obrazy moralności publicznej.

*

Tak, tak, wiele się zmieniło na naszej tak zwanej prowincji.

A co słychać w teatrach warszawskich? Posłuchajmy rozmowy dwóch rodowitych warszawiaków o sztuce Korcella „Stefan Czarniecki i jego żołnierze”:

— Patrz pan, jak się tędy tramwajem jadłem, w żaden żywy sposób nie można poznać, że to dawniejszy Kiercelak.

— Faktycznie, ale co panu szanownemu do głowy przyszło? Już pare lat Trasa W—Z tu egzystuje, wszyscy o Kiercelaku, o budkach, o straganach, o flakach z pulpety, o pyzach gorących, psach i gołębiach, którymi tu tak zwany ożywiony handel dochodził — na amen już zapomnieli...

— Rozumiesz pan rzecz jest taka, — w teatrze na ulicy Królewskiej wczoraj byłem i Kiercelak mnie się przypomniał...

— Taki ruch?

— Nie to, tylko sztuki historyczne tam odgrywają, o gieniale Czarnieckim, którego Szwedom w swoim czasie dał niemożliwy wycisk i bez morze aż do Szwecji ich ganiał.

— No dobrze, ale co ma wspólnego Czarniecki z Kiercelakiem?

— Uważasz pan to jest podobnie tak, że to sztuki właśnie niejaki Kierceli streścił.

— Dawniejszy właściciel tego placu?

— Detalicznie nie wiem, ale nazwisko podchodzące jak rzadko.

— Jeżeli o wiele tak jest, to patrz pan na co mu przyszło — artystom gadki układa.

— Co pan chcesz, żadna praca nie hańbi. Gadki nie gadki, ale za trudnia się człowiek uczciwie, kulturę i sztukę rozszerza i charakter pisma sobie wyrabia, zaczem po budkach ganiać i komorne od prywatnej inicjatywy zbierać.

— No, a ta sztuka ładna?

— Nadzwyczaj. Tylko że nie dla nerwowych. Zwłaszcza ponieważ pierwsze rzędy krzesel.

— Dlaczego pierwsze rzędy?

— Bo uważasz pan schody od nich na scenę prowadzą. A jest tam jeden nie duży facet, niejaki Paluszkiewicz, którego takiego szudracza w tej sztuce przedstawia, że wytrzymać trudno, żeby się do niego nie podnieść.

Osobiście byłem na tej sztuce ze szwagrem Kopycińskim, to przez całe przedstawienie musiałem go pod kamizelką za szelki trzymać, bo stale i wciąż rwał mnie się na schody do Paluszkiewicza.

Po mojemu niesłusznie. Raz artysta do teatru zgodzony, musi każdego jednego drania odegrać, chociaż by się ze wstydu palił i żonie w domu nie śmiał się na oczy pokazać. Już więcej winien Kierceli, bo go napuścił.

Znam się na artystycznej branży jak rzadko, bo kiedyś w młodości z herodami się w święta chodziło. Własnoręcznie za króla Heroda odgrywałem, to co, po mordzie miałem od publiki dostawać, za to że

reż nie winałtek kazalem przeprowadzać? Do kogo ta mowa? Artysta, czy to będzie Heród, czy diabeł, czy anioł, jest artysta i nie więcej. U nasz naprzykład za anioła grał największy oprycha na całym nowym Bródnie, tylko dlatego że miał cieniutki głos i niebieskie oczy. Ja znowu mam ten charakter, że niewinnie pluskwy nie uszkodzę, a zmuszony byłem krew młodziaków masowo przelewać. To samo jest z całą pewnością z tem Paluszkiewiczem.

— No tak jest, ale nerwy się z tem nie liczą.

— Lekramacje przysługują tylko do Kiercelago.

— On tyż faktycznie nie winien, bo sztuka skopiowana z natury i przedstawia nam szwedzką okupację. Szwedziaki szurają w nie-możeby sposób. Łapaniki, wywożenie mebli odbywają się na całą parę. Różne łachudry za szwedzkich foksdojczów się zostają i pomagają nieprzyjacielom. Paluszkiewicz właśnie ostawia na medal jednego takiego łachmyte.

Kiedy w drugim akcie szwedzki król przed pałatką siedzi w damskich jedwabnych leformach z koronkowym obszyciem a niejaki Koniepcolszczak klęka przed nim i w ręce go, telefonicznym słupem szarpanego, całuje, znowu publikie zaczyna lekka cholera ciskać, nie jeden przyrmyka oczy żeby schodów nie widzieć.

A jak znowu pokazuje się Paluszkiewicz i zamiaruje zamknąć do mamra pracującego chłopca, którego ręką w obronie ojczyzny stracił — pękli szwagrowi szelki, ale go nie puściłem!

Za dużo byłoby opowiadać co się tam jeszcze dzieje, wybierz się pan, warto te pare złotych.

Jedno tylko radzę derekcji — schody zdjąć, bo nerw nie można lekceważyć!

Bo kiedy w ostatnim akcie włata Czarniecki z pałaszem w rękę i krzyczy:

„Za mną, moi żołnierze!” — może zażyć wypadek, że cała publika rzuci się na scenę Szwedów grać.

Wiech

TOWARY POLSKIEJ PRODUKCJI i in.

za pośrednictwem akcji

„PACZKI PEKAO”

dla osób otrzymujących przesyłki od krewnych z zagranicy.

Zlecenia i wpłaty przyjmują:

w New-Yorku

PEKAO TRADING CORPORATION, New York 4,
25, Broad Street, room 1624

w Paryżu

BANK POLSKA KASA OPIEKI S. A.
Paris IX, 23 rue Talbott

Tą drogą można otrzymać:
materiały, meble, cement, cegły,
złoto, dentystyczne i obrączki,
maszyny i narzędzia rolnicze,
maszyny do szycia, rowery, węgiel,
zegarki szwajcarskie, radioodbiorniki,
wózki dziecięce, paczki żywnościowe,
krowy i prosięta

Informacji udziela:

BANK POLSKA KASA OPIEKI S. A.
Warszawa, ul. Mazowiecka 14

K-3281



NOWOŚCI

KAZIMIERZ KORCELLI
NAJAZD

(Stefan Czarniecki i jego żołnierze)
Sztuka w 4 aktach

Str. 85 zł 5,50

JÓZEF PRUTKOWSKI
ALFABET SERDECZNY
Wiersze

str. 131 zł 3,—

LUCYNA KRZEMIENIECKA
LENIN WŚRÓD DZIECI
Ilustrowała Anna Kopezyńska

str. 23 zł 2,50

CZYTELNIK

K-3177

SERIA: KLASYCY POLSCY

Franciszek Salezy Jezewski
WYBÓR PISM

opracował
Zdzisław Skwarczyński
wstępem poprzedził
Jerzy Ziomek

str. 351 zł 14,—

Jan Kochanowski
DZIEŁA POLSKIE

t. I/II
opracował
Julian Krzyżanowski

str. t. I 369

str. t. II 431 w opr. płóc. zł 30,—

Państwowy Instytut Wydawniczy
K-3246

KPP w obronie niepodległości Polski

...zawiera zbiór dokumentów i
materiałów, który jest ilustracją
stanowiska Komunistycznej Partii
Polski w sprawie najżywniejszych
interesów narodu. Pokazuje
jak KPP od pierwszej chwili swego
istnienia broniła interesów na-
szej ojczyzny, jak walczyła o jej
prawdziwą niepodległość i lepszą
przyszłość.

Str. 428 zł 9,50

„KSIĄŻKA I WIEDZA”

K-3228



BIBLIOTEKA
MYŚLI POSTĘPOWEJ

Piotr Abelard
HISTORIA MOICH NIEDOLI

str. 193* zł 10,—

Kartezjusz
ROZPRAWA O METODZIE

str. 116 zł 8,—

Mably
ZASADY PRAW

t. I/II

str. t. I 304 zł 20,—

str. t. II 218

Wolter
LISTY O ANGLIKACH

albo
Listy filozoficzne

str. 198 zł 14,—

Państwowy Instytut Wydawniczy
K-3247

HUMORESKA JANUSZA MEISSNERA UPARTY BARAN

JAKOŚ chyba przed miesiącem postanowiłem zrobić porządek na półce z czasopiśmi. Nagromadziło się tego sporo, więc zamierzałem ofiarować posegregowane roczniki miejscowemu szpitalowi jako lekturę dla chorych. Ułożyłem na podłodze niemal cały rocznik 52 „Przekroju”, który nieopatrznie zapamięnowałem. Egzemplarze pocztą przychodzą tak późno, że stale kupuję wcześniej „Przekrój” na Kru-pówkach. Stąd mam na końcu roku 2 komplety.

W tej chwili ktoś zadzwonił do drzwi wejściowych.

Poszedłem otworzyć. To był mój stary przyjaciel, Zygmunt, lub raczej — cień tego człowieka: szkielet; skóra i kości! Ledwie go poznałem...

— Co się z tobą stało?! — zawołałem zdumiony i przerażony jego wyglądem.

Machnął rękawem, w którym można się było domyślić istnienia pischelii.

— Opowiem ci — mruknął.

Pomogłem mu się rozebrać. Ostrożnie, w obawie żeby się nie rozspisał, posadziłem go na fotelu w moim pokoju, poczem pobiegłem do piwnicy po butelkę wina, żeby go pokrzepić.

Bardzo mi go było żal. Znamy się od jakichs trzydziestu lat. Podczas ostatniej wojny lataliśmy w jednej załodze. Zawsze pomagaliśmy sobie wzajemnie.

Zygmunt był optymistą, wagi około 95 kilogramów. Jak daleko sięgam pamięcią, nigdy nie chorował. (Raz go tylko brzuch bolał po wędzonym śledziu gotowanym w mleku — to tak szkocka potrawa. Ale później się przyzwyczaił). I oto teraz...

Wróciłem z tym winem, napełniłem kieliszki, poczęstowałem go papierosem. Patrzył na mnie z nikłym uśmiechem na pergaminowej twarzy. Nie miałem odwagi ponowić pytania, on zaś palił przez chwilę w milczeniu, pociągając tyk „porzeczkowego” i spytał:

— Widzisz jak ja wyglądam? Skinąłem głową ze współczuciem, a on powiedział:

— Wszystko to przez jednego barana...

Wydało mi się, że się przesłyszałem.

— Przez barana? — powtórzyłem.

— Tak, przez barana — odrzekł. — Jak to bydlę nadal będzie mnie prześladowało, to chyba zwariuje.

Pomyślałem, że widocznie już jest na najgłębszej drodze: baran go prześladowa! Biedak...

— Jak wiesz, mam liczne i bardzo różnorodne zamięłowania — powiedział Zygmunt i zrobił krótką pauzę, zapewne po to, żebym sobie te jego zamięłowania uprzytomnił.

Zrobiłem błyskawiczny przegląd w pamięci: hodował króliki, łowił ryby, robił jakieś piekielne nalęwki ziołowe, tak mocne, że oczy stawały w ślup i człowiek przez dobrą chwilę nie mógł tchu złapać wychyliwszy kieliszek tej trucizny. Poza tym... hm... ostatnie jego „zamięłowanie” miało włosy blond i marzące niebieskie oczy. Więcej na razie nie mogłem sobie przypomnieć.

Dopomógł mi:

— Zawsze na przykład zajmowały mnie różne problemy psychofizyczne — oświadczył. — Między innymi — problem snu.

— Ciekawe — mruknąłem zachęcająco.

— Otóż po kilku latach badań

tego zagadnienia — ciągnął dalej — doszedłem niedawno do ciekawego wniosku, że jak się człowiek wyśpi, to się lepiej czuje.

— Zdumiewające — bąknąłem.

— I wyobraź sobie — nagle przestałem sypiać! — wypalił dobitnie.

— Męcę się tak już od kilku tygodni — mówił dalej po chwili, zaciągając się dymem papierosa. — Czego ja nie próbowałem, żeby usnąć! Zażywałem brom i walerianę, moczyłem nogi w zimnej wodzie, ssalem makówki i — nic! Próbowałem czytać coś nudnego „do poduszki” — nie pomogło. W każdym utworze, choćby najmniej udatnym, znajdzie się coś — jakaś myśl, jakiś wątek, który pobudza wyobraźnię, zaprzęta umysł i wtedy, bracie, koniec: nie mogę już usnąć. Wreszcie — tonący brzytwy się chwyta: poszedłem za radą jednej znajomej. Ta doświadczona osoba radziła, uważasz, cierpiącym na bezsenność liczyć barany.

— Oho — pomyślałem — wraca mu. — Jak to rozumiesz? — spytałem niepewnie.

— To bardzo prosta sprawa — odrzekł z westchnieniem. — Kładziesz się, bracie, do łóżka, gasisz światło, zamykasz oczy i wyobrażasz sobie dużą szopę z otwartymi wrotami, a na wprost tych wrot — niski płotek. I — że z szopy wychodzą kolejno barany, jeden za drugim, i skaczą, uważasz, przez ten płotek. A ty liczysz: jeden baran, dwa barany, trzy barany, cztery barany, pięć baranów. póki nie usniesz. Spróbuj. Zobaczysz jak to usypiająco działa.

— I na ciebie też podziała?

— Jeszcze jak! — westchnął znowu. — Przy dwudziestym baranie kleiły mi się powieki, dwudziestego ósmego widziałem jak przez mgłę, trzydziestego już zwykle nie pamiętałem, bo spałem twardo jak kamień. No i po trzech nocach wszystko przepadło! — wykrzyknął.

Pochylił się ku mnie i dobitnie powiedział:

— Za czwartym razem dwudziesty piąty baran nie chciał skoczyć! Rozpędził się, podbiegł do płotka, spojrzal na mnie i — nie skoczył... Czekam minutę, dwie — nie skacze. Dwudziesty szósty wyłaził już z szopy, dwudziesty siódmy wystawił łeb, bo go dwudziesty ósmy tryka z tyłu, wszyscy czekamy, a to bydlę stoi przed płotem, robi głupie miny i nie skacze!

— Straszne... — szepnąłem bardzo przejęty, napełniając kieliszki. Zygmunt przepłukał gardło „porzeczkowym” i mówił dalej:

— Naturalnie wybiło mnie to ze snu; do rana oka nie zmużyłem. Ale co gorsze, nie mogłem usnąć także nazajutrz i przez cały następny tydzień. Kładłem się, uważasz, senny jak listopadowa mucha i zaczynałem liczyć, ale senność opuszczała mnie już przy pierwszym tuzinie baranów. Wiedziałem przecież z góry, że dwudziesty piąty za żadne skarby nie skoczy...

— No to po diabła je liczyłeś? — zapytałem. — Może gdybyś...

— Oczywiście — przerwał mi spokojnie. — Spróbowałem raz nie liczyć i zasnąłem. Ale tylko na chwilę, bo ten dwudziesty piąty zaraz mi się przyśnił i od razu się obudziłem. Potem jeszcze próbowałem zamiast baranów liczyć konie i krowy. I wiesz co? Dwadzieścia cztery konie przeskoczyły kolejno przez płotek, a zamiast dwudziestego piątego wybiegł z

szopy baran. I nie skoczył!!! To samo powtórzyło się z krowami...

— Biedaku... — powiedziałem ze współczuciem.

— Nigdy nie czytam „Przekroju”, ale opowiadano mi, że są tam jacyś Bracia Rojek — ciągnął dalej Zygmunt zmęczonym, cichym głosem. — Tacy faceci, którzy ciągle rozmawiają z pewnym Dr. K. o różnych sprawach zdrowotnych. Na oczy ich nie widziałem, ale — myślę — może z nimi pójdzie lepiej — spróbuję. Spróbowałem. Owszem, nie mogę powiedzieć: skakali przez ten płotek wcale nie gorzej niż krowy. Parami, uważasz, trzymając się za ręce. Ale już dwadzieścia cztery pary Braci Rojeków skoczyły, a dwudziesta piąta w mazurowym tempie biegła ku płotkowi, z szopy wypadł baran, minął ich i zabiegł im drogę... A propos — Zygmunt ożywił się nagle. — Ilu ich jest właściwie?

— Kogo? — spytałem niezbyt domyślnie.

— No tych Braci Rojeków.

Nie umiałem odpowiedzieć na to pytanie; redakcja trzyma takie sprawy w ścisłej tajemnicy. Ale Zygmuntowi nie zależało specjalnie na tej wiadomości.

— Mój kochany — powiedział patrząc na mnie żałośnie — czyżby lekarze, którzy podobno już nawet na katar wynaleźli jakiś niezawodny środek, nie mogli wynaleźć jakiegoś sposobu na tego drania, barana, żeby skakał jak na niego przychodzi kolej? Albo żeby chociaż nie przeszkadzał innym?...

Zapewniłem go, że lekarze zrobią wszystko, aby mu w tej sprawie pomóc.

Zjedliśmy kolację i „udałymi się na spoczynek” (żeby nie powiedzieć „poszliśmy spać”, bo to ostatnie mogło się odnosić tylko do mnie).

— Daj mi coś do czytania — powiedział jeszcze Zygmunt. — I tak nie usnę...

Wtedy coś mnie tknęło. Na podłodze leżał rocznik „Przekroju”. Dałem to Zygmuntowi.

Nie liczyłem baranów i usnąłem bardzo prędko. Nazajutrz wstałem trochę później niż zwykle i zająłem się przyrządzaniem śniadania. Zona wyjechała na parę dni, więc sam musiałem gospodarować. Z pokoju gościnnego dobiegał mnie jakiś jednostajny, szmer. Zawołałem na Zygmunta, żeby wstawał, bo śniadanie gotowe.

Nie odezwał się wcale, więc zabrałem do niego.

Spa! Pierwszy numer „Przekroju” leżał na jego koldrze, on zaś chrapał aż szyby drżały. Ledwie zdołałem go obudzić.

Zjedliśmy śniadanie, ja poszedłem się golić, a on postanowił czytać i — usnął znowu.

Był u mnie przez tydzień. Przeczytał w tym czasie pół numeru i przespał sto czterdzieści godzin. Pozostałe dwadzieścia osiem „poświewał na jedzenie i inne konieczne potrzeby.

Potem odjechał, zabierając cały rocznik. Nie został prenumeratorem tego tygodnika.

— To, co mam, wystarczy mi na kilka lat — oświadczył. — A potem będzie można znowu od początku.

Wczoraj dostałem od niego list Sypia doskonale. Pisz, że nie równie nudnego i usypiającego w życiu nie czytał. Nawet ten dwudziesty piąty baran tego nie wytrzymał!

JANUSZ MEISSNER

Nasz nowy wielki

KONKURS



**p. t. BIADA!
HAHAHA!
TRALALA!**

WARUNKI: Obrazki na sąsiedniej stronie przedstawiają 16 przedstawień teatralnych. Wybraliśmy popularne utwory sceniczne, które zapewne znacie, jeśli nie z teatru, to z lektury, albo chociaż „ze słyszenia”. Ale nie wystarczy odgadnąć tytuły poszczególnych utworów. Zadanie konkursowe polega na tym, by odpowiedzieć, czy dany utwór sceniczny jest poważny, czy też wesoły. A ponadto, czy jest to utwór muzyczny.

W rozwiązaniu nie trzeba podawać tytułów utworów. Należy na kuponie obok numerów wpisać: Jeśli utwór jest wesoły, słowo **HAHAHA!** Jeśli utwór jest poważny słowo **BIADA!** Jeśli ponadto dany utwór jest muzyczny to dodatkowo jeszcze słowo **TRALALA!** A więc każdy utwór muzyczny określamy słowami: **BIADA, TRALALA** (utwór muzyczny poważny) lub: **HAHAHA, TRALALA** (utwór muzyczny wesoły). Następnie należy wpisać (czytelnie!) swoje imię, nazwisko i adres, wyciąć kupon i przesać w kopercie z napisem „Konkurs” do Redakcji „Przekroju”, Kraków, Maniastu Lipcowego 19 — do dnia 3 stycznia włącznie 1953 roku (sobota).

Między Czytelników, którzy nadesłali w terminie i na kuponie bezbłędne rozwiązanie, będą rozlosowane następujące

NAGRODY:

I. Kupon pięknego materiału wełnianego 100% na ubranie lub kostium.

II. Aparat fotograficzny małoobrazkowy — na leikowskie filmy marki „Baltica”.

III. Znakomity patefon walizkowy.

IV. Stół ping-pongowy wraz z kompletnym sprzętem do gry.

V. Narty z wiązaniami czeskiej marki „Axa”.

VI. Zegarek męski na rękę marki „Thiele”.

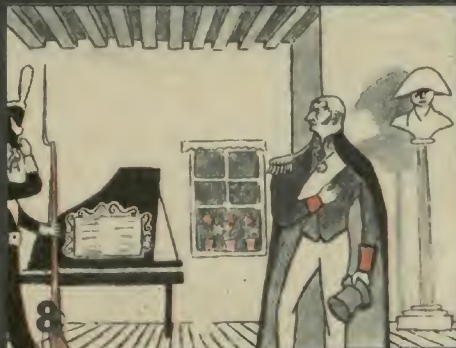
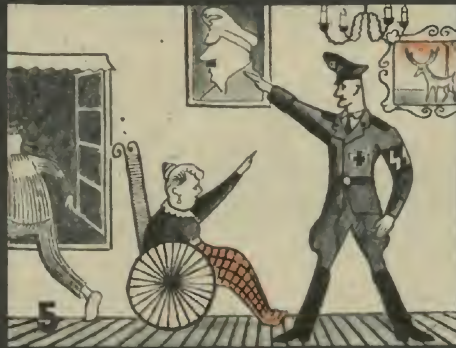
VII. Parasolka damska jedwabna (b. ładna!).

VIII. Praktyczna wiatrówka-plecak dla sportowców.

IX. Mały zegarek na rękę marki „Thiele” oraz 20 innych nagród wśród których świetne nylony.

KUPON





KUPON KONKURSU. Wyciąć i przesłać do dnia 3 stycznia 1953 r. włącznie

IMIĘ I NAZWISKO WYSYŁAJĄCEGO	Rys. 1	Rys. 9
	" 2	" 10
	" 3	" 11
	" 4	" 12
	" 5	" 13
Adres:	" 6	" 14
	" 7	" 15
	" 8	" 16



POWIEŚĆ
IRENA KRZYWICKA
RODZENSTWO

Anka Martenówna wychowała się w atmosferze drobnomieszczańskiej „duszczyzny”. Zbuntowana przeciw swemu otoczeniu, zawarła znajomość z robotniczą rodziną mieszkającą na Woli.

Postanowienie, które od niedawna wykielkowało w Ance, rosło i przybierało na sile, choć nie miała odwagi dopuścić go do swej świadomości. I wspólnie czytanie u Radoniów i spacer z Jankiem i ciche babskie rozmowy z Martyną, a nade wszystko każda bytność na zebraniach koła, na które Janek ją zabierał, były nim przepojone. Tym bardziej, że stosunki w domu stały się nieznosne. Nie dawało się już ukryć, że całe niemal jej życie dzieje się gdzieś indziej. Zgroza matki, iż Anka się gdzieś szwenda, zarażała ojca i Hesię i nawet Gustawa, który przyszedł jej robić wywówki.

— Włóczyś się! — krzyczał ze zgrozą. — Skrącasz życie ojcu i matce. Świętej swojej matce. Nie zgadzam się, żeby w naszej rodzinie była lafirynda.

— Jak śmiesz — krzyczała Anka — jak śmiesz!

Zarzut zresztą był dziki, to biło w oczy. Lafiryndy ani tak nie wyglądały, ani się tak nie zachowywały.

— Więc gorzej jeszcze — krzyczał rozwścieczony brat, reprezentujący w tej chwili głowę rodziny, bo Cyprian wycofał się pośpiesznie z domu czując w powietrzu awanturę. — Gorzej jeszcze. Tyś się wdała z tymi bandytami, z socjalistami.

— Ani mi się waż — krzyknęła Anka, dając susa jak kot i patrząc mu z bliska w twarz roziskrzonymi oczami — ani mi się waż tak mówić! Obraziliście rewolucjonistów. Możesz mi się więcej nie kłaniać.

Skandal, krzyki, życie staowało się piekłem.

Przyszedł wieczór, kiedy Anka wróciła bardzo późno z zebrania i wtedy postanowienie jej zapadło ostatecznie a wzmocniła je awantura, która czekała ją w domu.

Matka urządziła jeden z wielkich ataków histerycznych. Leżała na pluszowej otomianie w salonie i zawodziła przeciągle: „Aaach, aaach!”

Głowę miała obwiązana mokrym ręcznikiem, rozpięty stanik i gorset, olbrzymie rozlane piersi były niemal obnażone, bo drugi kompres spoczywał na sercu. Ciało jej przeżyło się w łuk, same białka bly-

skwały spod uchylonych powiek. Służąca, nieszczęsne popychadło, miała tego dnia wychodne i cała scena, z motywem przewodnim nieudanych dzieci i niedolegi oraz łajdaka męża, miała na celu przetrzymanie w domu Cypriana, który w aż nadto widoczny sposób kwapił się na zwykłą wizytę do panny Idalii. Mąż przestraszony gwałtownością ataku, krzątał się z zaafetowaną miną, zmieniał kompresy i ukradkiem spoglądał na wysoki stojący zegar. Wiedział, że na takie wybuchy najlepszym lekarstwem jest czułość matki, wiedział nawet, że Konstancja świadomie czy nieświadomie, na takie właśnie ukojenie liczyła. Z biegiem lat jednak coraz mniej czuł skłonności do tego niezawodnego lekarstwa, które najpierw za młodych lat stosował z upodobaniem, potem dla świętego spokoju, potem z tępą rezygnacją. Teraz czuł się już starym człowiekiem i gniewało go, że żona oczekuje odeń takich właśnie heroicznych środków. Z nienawiścią i lękiem zmieniał żonie kompresy i słuchał jej przeciągłego, histerycznego wycia. Kiedy zjawiła się Anka, ojciec był blady, ocierał co chwila łysą czoło chustką do nosa, jego chudy nos zbierał i zaostriżył się ze zmęczenia, a starcze oczy, pod bladymi brwiami, miały żalostny i spłoszony wyraz. Konstancja czuła instynktownie, że odporność męża się kończy i że za chwilę chwyci się on ostatecznego sposobu — ucieczki, to też ze wzmrożonym napięciem rzuciła się na świeżutką soczystą ofiarę — powracającą córkę. Kiedy Anka, usłyszawszy w przedpokoju wrzaski matki, usiłowała się w panice wycofać na schody, Konstancja siadła na kanapie, nie zważając na to, że biust jej wylewa się wezbraną kaskadą z rozpiętego stanika (zazwyczaj unikała prezentowania się dzieciom w nadmiernym negliżu, uważała że to podkopuje jej powagę). Z przekrzywionym na głowie ręcznikiem, wyciągnęła oskarżycielsko rękę, wskazując palcem wyrodną córkę, i wycharczała zduszonym głosem:

— Łajdaczka! Rogówka! O której wraca do domu? Gdzie się szwędasz, flądze?

Po czym wybuchnęła spazmatycznym śmiechem, który zakończył się wzmrożonym łkaniem.

Cyprian spojrzał bezradnie na córkę. Uważał również za wysoce

niewłaściwe, że Anka wraca po dziesiątej do domu, ale miał do niej zaufanie. A przy tym Idalia czekała od dwóch godzin, najlepsze chwile życia wykruszały się minuta po minucie. I w ogóle dość miał już tego wszystkiego. Tchórzliwie wymknął się do przedpokoju. Anka została sam na sam z rozjuszoną matką.

Wtedy jej postanowienie umocniło się ostatecznie. Mniejsza o awantury i krzyki. Życie nie jest rzeczą łatwą, a ona sama nie jest stworzona do radości i słodyczy — tak uważała — ale jeżeli ma żyć tak jak powinna, jeżeli chce aby towarzysze uznali ją za swoją, jeżeli ma mieć czas na to, co najważniejsze, jeżeli nie ma podlegać bezustannej kontroli i być zmuszoną do codziennego niemal kłamstwa, to jest tylko jedno wyjście — musi zerwać z dotychczasowym życiem, wyprowadzić się, tak jak Kamil z domu. Zdawała sobie jednak sprawę, że między dziewczyną a chłopcem jest ogromna różnica, że to co u Kamila mogło się wydać mniej lub więcej naturalne, u niej będzie niemal potwornością. Naturalnie, nie było motywu o tym, by mieszkała sama. To jej samej wydawałoby się dziwne. Ale do mieszkania Radoniów przylegała mała izdebka. Kiedyś Martyna wspomniała o tym, że dobrzeby było, gdyby tam ktoś mieszkał, bo nagrzewałaby się trochę ścianą. Zamieszkać tam? Żeby Janek tylko tego jakoś opacznie nie zrozumiał. Ale nie, cóż z niego byłby za socjalista, gdyby mu jakieś głupie myśli do głowy przychodziły wtedy, kiedy chodzi o pracę dla sprawy i o zamanifestowanie się nie wspólnego nie ma z dyrektorem Gustawem Martenem, choćby to był rodzony brat. Tylko jak zdobyć się na taki krok...?

Silną nawyku coś tam kłamała przed matką, dawała jej krople, zmieniała kompresy i traktowała lawinę wyzisk, jako naturalny przejaw jej zdenerwowania. W ten sposób upłynęły te dwie godziny i czas już było iść spać. Konstancja Martenowa szczęśliwie przebrnęła przez niedzielną wieczór i spokojna już włożyła nocną koszulę.

Leżąc na posłanej kanapie w wygodnym saloniku, drząc z zimna i z przejęcia Anka aż do zupełnego wyczerpania obracała w myślach swoją niesłychaną decyzję.

Kilka dni upłynęło na szamotaniu się wewnętrznym. Anka zmierzniała, schudła. Matka patrzyła na nią podejrzliwie i z niepokojem. Może jakiś nieznajomy kawaler tkwi w tym wszystkim? Może z tego będzie skandal, hańba? Ciężko? Anka żyła jak nieprzytomna, nie słyszała co do niej mówiono, nie wiedziała co się z nią dzieje. Pewnej nocy, znów nocy bezsennej, nie mogąc uleżeć wyskoczyła z łóżka i dygocząc, przw oknie, w samej koszuli, wpatrywała się hipnotycznym wzrokiem w błękitne światło gazowej latarni na ulicy. Ostateczne postanowienie zapadło jakby samo przez się. Ubrała się pośpiesznie i resztę nocy przesiedziała w fotelu, drżąc chwilami, budząc się ze skurczem lęku: czy nie zasnęła. Rano przed piątą wymknęła się z domu, udając że nie widzi zdumionego spojrzenia stróża, który, nie wierząc swoim oczom, otwierał jej bramę i biegnąc niemal, z niedużym weselekmi, rzeczy, które sobie „na wszelki wypadek” przeźornie zawczasu schowała, podążyła w kierunku ulicy Wolskiej. Miała przy so-

bie trochę pieniędzy własnych i tych, które Hesia wtykała jej od czasu do czasu przy różnych okazjach. Na początek wystarczy.

*

Izdebka Radoniów położona była na poddaszu, tak jak i poprzednio, w ohydnej skleconej z desek budzie, jednym bokiem zapadłej w ziemię. W dachu były wyrobione małe mansardowe okienka i takie skąpe okienko oświetlało mieszkanie Radoniów. Do ich izby przylegał małeńki pokój, właściwie przygórek z okienkiem w kształcie wolego oka, ale z zupełnie ściętą aż do podłogi boczną ścianą. Na ten przygórek miała oko od pewnego czasu Anka, choć brudny i nieopalony, ale wiosna szła, czy warto było się martwić. Komorne wynosiło niewiele i byłby to jednak własny pokój, czyli spełnienie pragnień Anki. Oznaczał dla niej wolność, choć wiedziała, że wcześniej czy później droga z niego prowadziła do więzienia. Ale i to więzienie byłoby dla niej w pewnej mierze wolnością, w porównaniu z kajdanami w jakie zakuwało ją dotychczasowe życie.

Uciekła z domu. Tak, uciekła z domu po cichu, ukradkiem. Nie było na to innej rady. Była przecież małoletnia, rodzice mogli ją sprowadzić przez policję. Wiedziała, że ojciec nie chwyci się tego sposobu, ale matka? Ale Gustaw? Gdyby oznajmiła po prostu, że się wyprowadza, jak ongi Kamil, zaczęłaby się seria krzyków i awantur, których przedsmak już miała, zaczęłaby się szantaż rodziny: zabił, kompromitujesz, po moim trupie, lży, ataki serca. Nie! Trzeba było uciekać po cichu, zacierając za sobą ślady, trzeba było postawić rodzinę przed faktem dokonanym, potem się zobaczy.

Kiedy wbiegła do Radoniów, Janka już nie było w domu, szedł do pracy na piątą rano, zaś Martyna dopiero się wybierała do swojej szwalni. Zasnęła, zła jak zwykle rano, że musi wyjść z domu i zostawić dzieci pod opieką Leosia, przyjęła Ankę z mrukliwym zdziwieniem i niepokojem — czy się co nie stało? — i rozjaśniła się dopiero, kiedy niespodziewany gość ją zapewnił, iż zatroszczy się o dzieci i da im śniadanie, kiedy się

NAJWAŻNIEJSZE WYDARZENIA SPORTOWE 1952 r.

LUTY: Zimowa Olimpiada w Oslo. — Grocholska zajmuje 13 miejsce w biegu zjazdowym i 14 w slalomie. Mistrzostwo ligi koszykowej zdobywa Spójnia (Łódź). **MARZEC:** W międzynarodowym turnieju pięciobojskim w Moskwie Polacy zajmują 2 miejsce, po ZSRR. **MAJ:** Biegi Narodowe. Ponad 80% startujących zdobywa normy do SPO. Wyścig Pokoju — po raz pierwszy na trasie Warszawa—Berlin—Praga. W ZSRR reprezentacja piłkarska Warszawy wygrywa z reprezentacją Moskwy 1:0 i remisuje 1:1. Na Mistrzostwach Europy w koszykówce kobiet Polki zajmują 5 miejsce. **LIPIEC:** Olimpiada w Helsinkach. Chychła zdobywa złoty medal, Antkiewicz i Jokiel srebrne, Kocerka — brązowy. Finał piłkarskiego Pucharu Polski na Złocie Młodych Przedowników: OWKS (Kraków) wygrywa z Ogniwem (Kraków) 5:1. **SIERPIEŃ:** Wyścig Kolarski Dookoła Polski wygrywa Wójcik a drużynowo CWKS. Mistrzostwa świata w siatkówce mężczyzn i kobiet w Moskwie — Polki zostają wice-mistrzyniami. **WRZESIEŃ:** Zawody lekkoatletyczne ATK (Praga) — CWKS z udziałem Zatopka. Wygrywa ATK 250,5:192,5. **PAŹDZIERNIK:** Marsze jesienne-szlakami zwycięstw pod hasłem „Wszyscy sportowcy we Froncie Narodowym”. **LISTOPAD:** mistrzem ligi piłkarskiej zostaje Unia (Chorzów) pokonując w finale Ognio (Bytom). Przyjazd siałkarzy radzieckich, którzy po świętnej grze wygrywają wszystkie swe spotkania w stosunku 3:0. **GRUDZIEŃ:** Rozegrany w Warszawie mecz piłkarski Polska—Finlandia wygrywamy 14:6.

obudzą. Na wieść, że ma zamiar wynająć sąsiadni przygórak, Martyna ostupiała. Siadła na stołku i odetchnawszy głęboko powiedziała, przechodząc nagle na ty:

— Co to, zgłupiałaś?

To „ty“ ogrzało nagle Ankę niby kubek gorącej kawy, którego szcze-

rze mówiąc, bardzo była w tej chwili, po bezsennej nocy spragniona. Roześmiała się tylko w odpowiedzi i odparła:

— Z moją rodziną skończone. Tu będę mieszkać i chodzić na lekcje no i wszystko inne robić co trzeba.

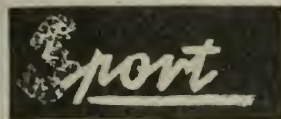
— A to się Janek... a to się Ja-

nek zdziwi... — Jakaś Martyna, o-szołomiona. Była kobietą, uznała więc od razu, że to dla Janka. Ale żeby taka panna chciała robotnika! To była jedna myśl. Ale zaczynała już być socjalistką, więc zaraz przyszło i niedowierzające zrozumi-

enie. — To zaraz można pomówić z gospodarzem. On wcześniej wstaje. (Właścicielem domku był stolarz, który miał warsztat od ulicy). Po-

wiemy, żeście teraz przyjechała. Z prowincji, czy jak...

DAJSZY CIĄG NASTĄPI



SZOPKA SPORTOWA 1952-53

ST. WROTNY

(mówi z „Przekrojem“ w ręce)

„Mens sana in corpore sano“,
w zdrowym ciele zdrowy duch.
Kiedy z łóżka wstaniesz rano,
wypnij pierś, a wciągnij brzuch.

Po to właśnie sport nam dano
i w tym właśnie sportu sens,
byś miał in corpore sano
idealnie saną mens.

Mógłbym dłużej w tymże sensie,
bo w gadaniu jestem zuch,
lecz już zbliża w stronę tę się
jakichś jegomości dwóch.

Wieleż przeto stante pede,
elegancko znikam, siup,
bo z tych panów każdy jeden
jeden tylko ceni klub...

(wchodzi DWAŃ KIBICÓW)

KIBIC PIERWSZY

Muszę powiedzieć panu, sąsiedzie,
że myślę i myślę od rana
i wiem, że na pewno jest w całym świecie
najlepszym klubem klub pana.

KIBIC DRUGI

Nie zgodzę się z panem, sąsiedzie kochany,
bo z rzecz gdy dokładnie się zbada,
to klubem najlepszym, z tysiąca wybranym,
jest klub kochanego sąsiada.

KIBIC PIERWSZY

Klub pański niejedną wytrzymał już próbę...

KIBIC DRUGI

Ach, cóż za argument szatański...

KIBIC PIERWSZY

Przepraszam, lecz trzymam za pańskim klubem.

KIBIC DRUGI

A ja znów za klubem pańskim.

KIBIC PIERWSZY

Buzi, sąsiedzie, buch — buch — buch...

KIBIC DRUGI

Lecz przynajmniej pan chyba kolego...

KIBIC PIERWSZY

Ze co?

KIBIC DRUGI

Ze takich trzech, jak nas dwóch...

RAZEM

To niema ani jednego!

(wychodzą)

DZIAZIA

(zjawia się deklamując)

Jeszcze się nawet ludziom nie śniła
podróż ku różnym planetom,
gdy ja już była, gdy ja już była
pierwszą polską rakietą.

Na Marsa wleźć się jeszcze nie jedzie,
okropnie coś to się wlezie —
A ja wygrywam seta po secie,
wojując z ogniem i smeczem.

Coraz to talent ktoś przyprowadzi,
i lata trwa ta opera,
że-bierze talent baty od Dziadzi,
w dwóch setach, po 6:0.

(śpiewa)

Ja nie winna, ona winna,
bo by lepiej grać powinna...

(mówi)

Przelałam wspomnień tom na papier,
żeby je w książkę wydać.
Chciałabym ślać już na kanapie,
ale następcy nie widać.

Tak więc już tracę całą nadzieję
i wpadam w zły humorek...
Co robić? Chyba zdziennicę
i wstąpić do juniorek.

(znika)

NAPASTNIK LIGOWEJ DRUŻYNY

(wchodzi i śpiewa na mel. „Kukuleczka...“)

Kukuleczka stuka,
a ja bramki sukam.
W niedzielę co tydzień,
ciągle jej nie widzę.
Ku-ku, ku-ku, straszna rzecz, straszna rzecz,
w sposób nowy, w sposób bezbramkowy,
wygrywa teraz się mecz.

Kukuleczka stuka,
po co mi nauka.
Nie trzeba trenera
na zero do zera.
Ku-ku, ku-ku, straszna rzecz, straszna rzecz,
w sposób nowy, w sposób bezbramkowy,
wygrywa teraz się mecz.

(mówi)

A jeśli mecz nawet bramką się kończy,
to ją z zasady strzelają... obrońcy.

DWAJ OBROŃCY

(wchodząc, uniesono)

Kto nas woła?
Czego chciał?
Czy znów będzie
karny strzał?

My jako obrońcy
mamy dużo pracy.
Pomoc,
pomoc,
pomoc dajcie nam rodacy!

(zjawiają się POMOCNICY i reszta drużyny)
(dekamują razem)

Napastnicy, pomocnicy i obrońcy,
razem nas jest jedenastu braci śpiących.
Czy to „Puchar“, czy liga,
dla widowni jest figa,
my nie Węgrzy, my nie koncertujący.

Nim się jeszcze publika potapała,
przychodziła na mecze i kimała.
Ale teraz, skaranie,
nie chce płacić za spanie
i frekwencja dzięki temu zmalała.

(wychodzą)

KOLKA

(wchodząc)

Państwo chyba znać moją słynną postać:
lepiej dostać kolki niż od Kolki dostać.

Chodzę na te mecze i mina mi rzędnie,
bo średni pięściarz są w tej wadze średniej.

Dzisiaj jeszcze stać mnić, by wysiłkiem średnim
zostać w średniej wadze znów pięściarzem
przednim.

Dzisiaj jeszcze każdego kto się ze mną spotka,
załatwię tak samo jak na filmie Dodka.

Ale ja boks dzisiaj wystawiam do wiatru,
bo ciągnie do filmu mnie dziś i teatru.

Tych wszystkich amantów, jak tak dalej
pójdzie, rozłożę na cacy zaraz w pierwszej rundzie.

Bo to się po scenie snuje jak za mgłą.
Nikt im chyba rady nie da poza mną.

(znika)

ST. WROTNY

(z „Przekrojem“ w ręce, mówi)

Mens sana in corpore sano,
w zdrowym ciele zdrowy duch.
Wszyscy wolą teatr, ano
trzeba zrobić w sporcie ruch.

Napisał wierzącem

JERZY FUDALA



Natenczas pan Bec-Walski dumny i nadęty,
Poruszył się, w fotelu wielkim rozciągnięty,
Z ogromnej alteracji przez nos jakby świsnął,
Wzdął policzki jak banię, binoklem zabłysnął,
Zasunął wpół powieki, wciągnął w głąb pól brzucha
I do płuc wysłał z niego cały zapas ducha,
I załgał. Wróg z eteru, zakłamanym w dechę,
W tym łganiu Bec-Walskiego powtarzał się echem.
Umilkły ciotki, stali szczwacze zadziwieni,
Wujowie wyglądali bardzo rozmarzeni,
Bo Bec-Walski kunszt cały, którym od lat słynął,
Jeszcze raz przed uszami famuły rozwinął;
Napełnił nadziejami obszarnicze głowy
I kłamstwa niby psiarnię wypuścił na łowy.
W tym miejscu nastąpiła historyjka krótka:
Dzwonek się w przedpokoju oznał jak pobudka;
Gość jakiś się meldował srebrnym dzwonka graniem,
Więc przeprosił Bec-Walski panów oraz panie,
I wyszedł drzwi otworzyć; wszystkim się zdawało,
Że Bec-Walski łąga jeszcze, a to radio łągało.

**WYDAWCA INSTYTUT
PRASY „CZYTELNIK“**

**REDAKTOR NACZELNY
MARIAN EILE ***

**DRUKARNIA NARODOWA
PRZEDS. PAŃSTWOWE, KRA-
KÓW, MANIFESTU LIPCOWEGO 19**

ADRES REDAKCJI: KRAKÓW, UL. MANIFESTU LIPCOWEGO 19, TEL. 559-54

ADRES ADMINISTRACJI: DELEGATURA RSW „PRASA“

KRAKÓW, UL. WISŁNA 2, III p. TEL. 558-62 — 588-41 *

BIURO OGŁOSZEŃ I REKLAM RSW „PRASA“ Kraków, Rynek Główny 46/I p. tel. 553-40

**CZY
TEL
NIK**

